



ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja:
Daszyńskiego 16
Administracja:
Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI

Warszawa, dnia 10 lipca 1949 r.

Nr 28 (241)

WILLIAM GROPPER

TADEUSZ BOROWSKI

ŚWIERSZCZYK I ŁASKA BOGA

Obecnie bawi w Polsce William Gropper, znakomity malarz i rysownik amerykański, który odwiedził już raz Polskę rok temu. Słynny ten karykaturzysta opracowuje album rysunków z współczesnej Polski.

Bezrobocie

I

Uwolniony dziedziczny król Czech od groźby szantażu, Sherlock Holmes odwrócił się od niego pogardliwie plecami, nie podał mu ręki na pożegnanie, a zamiast czeku wolał wziąć w nagrodę fotografię porzuconej przez kochliwego i niewiernego króla aktorki, którą (z niezwykłym jak na kawalera szacunkiem) we wspomnieniach rzywał po prostu: kobieta. „Piasek w czułym przyrządzie, rysa na silnej soczewce mniej czynią szkody niż silne uczucie w naturze takiej jak jego — zanotował dla potomnych skrupulatny biograf Holmesa, dr Watson. — A jednak istniała dlań tylko jedna kobieta. Była nią Irena Adler, kobieta o niepewnej i wątpliwej reputacji”.

Działo się to u schyłku wieku XIX. Dziś, gdy Anglią rządzi syro-wie Watsonów, liberałom w państwie kapitalistycznym może być tylko bandyta lub mistyk, czasem detektyw, nigdy policjant. Policjant ślepo wykonuje rozkaz, o sprawiedliwości walczy bandyta, kontempluje ją mistyk, konserwują ją detektywy prywatny. Policjant zawsze się myli, nie rozumie ludzi, jest kółkiem bezdusznej maszyny; bandyta narusza prawo; mistyk zamyka się przed ludźmi; jeden detektyw jest nieomylny, czynny, samodzielny i uczciwy; zna namietności ludzkie, wykrywa mordercę. Najpiękniejsze cechy ludzkie skupiają się w detektywie; epos kapitalizmu — to Odyseja detektywa, poszukującego mordercy.

Popularność powieści kryminalnej w krajach kapitalistycznych jest niezwykłym zjawiskiem; jej produkcja przewyższa nawet produkcję pornografii; jest to literatura, którą burżuazja potrafiła narzucić całemu swojemu światu. Powieść kryminalna zamiast na klasy dzieli społeczeństwo na morderców, ofiary i podejrzanych; zamiast walki klasowej grozi nagłą śmiercią. Nagła śmierć cicha wszędzie: na ulicy, na plaży, w samolocie i na karuzeli, w wannie i w łodzi podwodnej, w teatrze i w łóżku, na łące i na dachu; bezbronna jak zwierzę ofiara nie ma bezpiecznej nory. W całym świecie kapitalistycznym szleszczą posuwiste kroki mordercy i jego zbrodniczy oddech owiewa twarze czytelników; w miastach i wsiach, w kościołach i domach publicznych, suterrenach i pałacach trzaskają pistolety, miękko uderzają noże w brzuchy ofiar, naprężają się sznury wicieli, zaciskają się palce na szyjach; samotne ciała walają się po całym kraju; w kanałach i salonach, w samochodach i na poczcie: i czemuż ma się dziać inaczej, jeżeli mądry wydawcy i rozpaleni czytelnicy wciąż wołają bez tchu:

— Nuże, autorzy i autorki! Nuże, detektywi na emeryturze! Nuże, jeszcze raz! Do rewolwerów, do sznurów, do trucizny i noży! Strzelajcie, trujcie, rozpruwajcie brzuchy! My chcemy trupów! My chcemy skazańców! My chcemy sprawiedliwości! Tak więc, sprawiedliwość staje się na żądanie: morderca produkuje trupy, detektyw produkuje skazańców. Morderca posługuje się własnym mózgiem, detektyw — ma na usługi naukę i technikę. Każdy włos, każdy odcisk palca, każda nitka ubrania, kropelka krwi i grudka ziemi — może prowadzić na szubienicę. Jednakże pewniejszym tropem od krwi i nitki jest trop pieniędzy. Detektyw wie, że morderca jest ten, kto z morderstwa korzysta. Każda powieść kryminalna potwierdza zasadę Hobbesa, że człowiek człowiekowi wilkiem; w jej tafi odbija się skrzywione oblicze ustroju.

„Wzniosłym i jedynym celem ludzi, którzy jednoczą się w społeczeństwie, jest ochrona ich własności prywatnej” — pisał przed trzy-

ty laty John Locke, świadek przewrotu kapitalistycznego w Anglii. W ten sposób, po długich wzdrganiach się, moralność stała się służą płynnego pieniądza; pieniądz zwyciężył ziemię. Średniowiecze przyglądało się zaciekłej walce Kościoła z lichwą. Dante posyłał lichwiarzy do piekła, prawa kanoniczne do więzień. Majątek kościelny leżał w ziemi, a ziemianin nigdy nie ma zbyt dużo płynnej gotówki, zawsze siedzi w kieszeni bankiera. W wieku Locke'a kapitał zalał Europę, protestantyzm i kalwinizm wypuściły lichwiarzy z piekła, prawa kanoniczne zawarły z nimi przymierze, uznając sprawiedliwy procent. Burżuazja rewolucyjna angielska zmieniła prawa natury. W wiekach średnich lichwa sprzeciwiała się prawu natury, a poddaństwo chłopów było z nią zgodne; w wieku rewolucji „każdy według wskazań natury i rozumu powinien czynić to, co mu przynosi największy pożytek; dobrobyt jednostek zwiększy bogactwo społeczeństwa”, jak pisał pastor Joseph Lee.

Właściwie, jak dobroduszenie zauważył C.E.M. Joad, Locke wyliczył całą teorię kapitalizmu. Wieki następne niewiele do niej dodały. Zarzucono prawa natury, stworzono kult legalizmu, wzrosli strach przed rewolucją, zmniejszały pieniądze i policja. Wraz ze wzrostem i krzepnięciem kapitalizmu krzepło i tezało pojęcie własności prywatnej jako ostatecznej podstawy ustroju. Policja kapitalistyczna tak samo bronila jej poszukując włosa mordercy w skurczonych palcach ofiary, jak tłumiaj strajki i wyrzynając robotników. Policja niemiecka równie gorliwie pilnowała jej w Polsce, jak angielska w Indiach i Egipcie, holenderska na Sumatrze i na Jawie, francuska w Bangkoku i Algierze. Jej narzędziem jest zarówno mikroskop i archiwum, radio i laboratorium, jak czołgi, gazy trujące i armaty; poszukuje ona również nieublaganie mordercy kobiety w worku jak i rewolucjonisty, walczącego o podniesienie głodowej płacy robotników.

Również literatura kryminalna na swój sposób broni społeczeństwa, opartego na własności prywatnej środków produkcji. Utrwała zasada zwierzecej walki o byt, zacieraając obraz rzeczywistości klasowej. Idealowi rewolucyjnej ludzkości — przywódcy ludowemu stawia swój wzór człowieka: obronę ładu i własności, mądrego detektywa i sprawiedliwego policjanta

II

Na próżno! Kopyta szarżujących koni policyjnych klaszczą zbyt głośno po asfalcie, zbyt ostro pachnie wapno z grobów masowych, płomień burzonych miast jest zbyt gorący! Ci, którzy wacha, a pot mordercy, nie czują zapachu palonych ciał; ci, którzy szukają włosa ofiary, śpią na materacach z ludzkich włosów; ci którzy szukają w zbrodni motywu zysku, jedzą sztucznymi szczękami swoich ofiar i spoglądają na świat przez zabrane im złote okulary.

Autorzy powieści kryminalnych nie rozumieją koszmarnego komizmu swojej twórczości. Co najwyżej, wysmiewając policję za jej nieudolność, powierzają walkę o sprawiedliwość przestępcom i bandytom. Sherlock Holmes był tylko sportrzegawczy i uczciwy, ale jako indywidualista, nie mieścił się w policję; praktykował prywatnie jako lekarz. Cztery Sprawiedliwi Edgara Wallace'a stali już poza prawem, choć działali dla jego dobra. Usilowali moralność ludzka połączyć z prawem kapitalistycznym, wykonując na własną rękę słuszne wyroki

na ludziach, którzy sprytnie umieli obchodzić ustawy. Zamiast uznania, prawo skazało ich zaozornie na śmierć.

Simon Templar, zwany Świętym, również czekał na szubienicę, ulaskawiono go jednak, gdy uchronił pociąg królewski przed zamachem anarchistów. Simon Templar dobrze zasłużył się sprawiedliwości; odnalazł miliard dolarów, skradzionych z Banku Chicago, zamordował w Atenach Henri Chastela, handlarza niewolników, lorda Essendena, bandytę Jacka Farnberga, Władka Kuzelę i innych osławionych opryszków. Walcząc nożem o sprawiedliwość, Simon Templar dorobił się ogromnego majątku i światowej sławy. Policja oceniała jego konto na pół miliona funtów szterlingów; stawę jego kultywuje The Saint Club w Londynie (10 Eccleston Place, London, S.W. 1), który przysparzając swym członkom wiele rozrywek, wspiera również klub młodzieży w zniszczonej dzielnicy Londynu.

Simon Templar, bohater seryjnych powieści o niejakiego Leslie Charterisa, podobnie jak Sherlock Holmes, pracuje wyłącznie na zamówienie. Za opłatą zawsze gotów jest porzucić dom i wygody życia małżeńskiego, aby naprawić krzywdę ludzką i ukarać winnych.

Wynajęty przez milionera, którego porywacze dzieci zamordowali syna, Święty wyruszył pewnego dnia do New Yorku, aby za milion dolarów i zwrot kosztów zlikwidować bandę. Nie minął dzień, Święty zastrzelił jednego jej członka. Nie minął drugi, Święty odkrył siedzibę sztabu i dobrowolnie dał się porwać bandzie, chcąc dotrzeć do jej tajemniczego przywódcy. Banda postanowiła go uśmiercić w „płonącej skrzyni” jeden z jej szefów, Holender o miękkim sercu, płakał z żalu nad młodzieńcem, tymczasem zaś związany, lecz nieugięty Simon Templar, zwany Świętym, rozmyślał:

„W pokoju siedział wokół niego ponad tuzin ludzi, którzy poświęcili swoje życie morderstwom i grabieżom i byli żołdakami najstraszliwszego legionu zbrodni, jaki zna cywilizacja współczesna. Ale nie oni budzili w nim chłodny dreszcz szmerliwego gniewu. Gniew ten powstał przeciw ludziom, którzy zezwalają im na grabież; przeciw ludziom, którzy rządzą koncernami; przeciw ludziom, którym ufne społeczeństwo dało wysokie urzędy i płaciło coraz lepsze pensje z kieszeni zwyczajnych, uczciwych obywateli; przeciw ludziom, których opieka pozwalała mordercom na bezkarność i dawała im zyski. Tutaj prawo nie znało nic, chyba tylko okno, które usława przeszło do dalszego rabunku. Na zewnątrz, za oknem, leżało ogromne miasto, pomnik geniuszu ludzkiego z betonu i stali, w którym siedem milionów ludzi płaciło haracz garstce grabieżców. Święty nigdy nie uważał się za rycerza bez skazy; ostatecznie, on sam także był zbrodniarzem, wynajętym do spełnienia bezprawnego czynu, ale jeżeli kiedyś miał co do tego skrupuły, to tej nocy przekonał się o słuszności swojego zadania. Czy uznawał to czy nie, czy oni o wiedzieli czy też nie — był on obrońcą siedmiu milionów ludzi” (Leslie Charteris, The Saint in New York, Pan Books, London, 1948).

Nim minął czwarty dzień, Święty, nie usmazyszy się w „płonącej skrzyni”, uwolnił dziecko z rąk porywaczy, rozpruł jednemu nożem brzuch, kilku innych utrupił z rewolweru, dostarczył policji tajemniczego herszta bandy, którym był jego własny morderca, przeżył dramat miłosny i pełen romantycznych wspomnień powrócił do Anglii, omijając policję, wydziały paszportowe i urzędy celne.

Być może właśnie wtedy, gdy Święty Simon Templar wsiadł na okręt w Nowym Jorku, inny święty, Laurence Darell, zwany przez przyjaciół Harrym, przybił do portu, aby po latach nauki w jogów, zostać w Nowym Jorku taksówkarzem i w ten sposób uwolnić się od społeczeństwa kapitalistycznego.

Zamieniwszy piekło morderców i detektywów na niebo Absolutu, mistyk próbował tego, czego nie mógł osiągnąć bandyta.

III

Laurence Darell nie miał majątku, o którym warto by było opowiadać, ale mimo to był niezależnym, porządnym chłopcem amerykańskim. Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa i Ameryka wystąpiła po stronie koalicji, Larry zachował się — jak później o nim mówiono — diabło po sportowemu i zamiast do piechoty poszedł do lotnictwa. Śmierć wiernego przyjaciela, który zginął, ratując mu życie, wstrząsnęła mocno Larrym i odsłoniła przed nim bezsens życia. Zamiast dorabiać się majątkiem w złotych czasach prosperity amerykańskiej, Larry rzucił się poszukiwać prawdy o świecie. Bez żalu opuścił narzeczoną imieniem Izabella, która nie chciała żyć z nim za trzy tysiące renty rocznej, wyjechał do Paryża, studiował grekę, łacinę, literaturę i filozofię. Nie zaniedbał również życia praktycznego: pracował w kopalni francuskiej, na gospodarstwie rolnym w Niemczech, miał kochankę w Paryżu, czytał Goethego, modlił się w klasztorze katolickim, pięć lat uczył się u jogów hinduskich prawdy o Absolutcie.

Praca nie nauczyła go prawdy, katolicki Bóg go zniechęcił materialnością, kochanki zmęczyły, jedynie jogowie darowali mu prawdziwą wolność i wyjaśnili problem zła. Zło nie powstaje wskutek działalności ludzi, lecz jest natury metafizycznej. „Zło jest naturalnym odpowiednikiem dobra — nauczał Larry pisarza angielskiego Somerset Maughama. — Nigdy nie byłoby oszałamiającej piękności Himalajów bez nie dającej się wyobrazić okropności konwulsji skorupy ziemskiej”. Należy biernie pogodzić się z tym, co istnieje, a za własny los brać pełną odpowiedzialność. „Jeśli dolegliwości, które cierpimy, są rezultatem grzechów popełnionych w naszych przeszłych żywotach, możemy znieść je z rezygnacją i nadzieją, a jeśli w tym życiu dążyć będziemy do cnoty, to nasze następne życie będzie lepsze. Dość łatwo znieść spowodowane przez siebie nieszczęście, potrzeba tylko trochę męskiej odwagi; natomiast trudno znieść nieszczęście, o którym sądzimy, że jest niezasłużone”. Życie człowieka jest prolegiem do bytu następnego; szczęście człowieka — to stopienie się z Absolutem, który jest prawdą. Wszystko inne stanowi tylko wieczne koło przemian, formy niewoli człowieka. Człowiek nie jest związany z innymi ludźmi, jego wędrówka jest zupełnie samotna.

„Sądziłbym, że mądrość polega na stworzeniu równowagi między potrzebami ciała a potrzebami ducha” — zauważył W. Somerset Maugham, który przyglądał się z ironiczną sympatią swojemu bohaterowi.

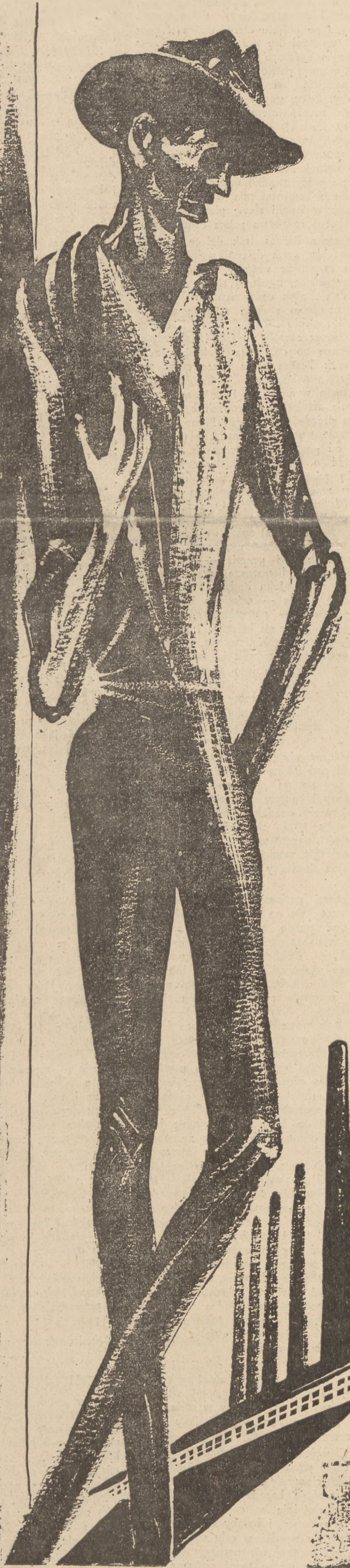
„Hindus utrzymuje, że właśnie my, ludzie Zachodu, tego nie osiągnęliśmy — odpowiedział spokojnie bohater „Ostrza brytywu”. — Uważają, że z naszymi niezlicznymi wynalazkami, fabrykami, maszynami i wszystkim, co one wytwarzają, szukaliśmy szczęścia w rzeczach materialnych; a ono nie leży w nich, lecz w rzeczach duchowych. I są zdania, że droga, jaką wybrałmy, prowadzi do zagłady”.

Jeden tylko istnieje ratunek: spokój i rezygnacja. Larry chce jej nauczyć najbardziej nerwowe społeczeństwo świata. „Dlaczego my, ludzie Zachodu, a zwłaszcza my, Amerykanie, mamy tracić otuchę z powodu istnienia chorób, śmierci, głodu, pragnienia, starości, trosk i rozczarowań?” — spytał W. Somerset Maughama.

Somerset Maugham znowu nie umiał mu odpowiedzieć wtedy Larry wyłożył mu swoją teorię walki ze światem kapitalistycznym przez dobry przykład. Wyzwolił się od posiadania majątku, który mu dawał skromną rentę, udał się do New Yorku, aby żyć tam „ze spokojem, wyrozumiałością, współczuciem, bezinteresownością i wstrzeźliwością”, studiować w przebogatych księgarniach i antykwiariatach i zarabiać na życie taksówką. W ten sposób Laurence Darell zamierza wyzwolić się od kapitalizmu, ludzkości i świata. Cywilizacja prowadzi do zżubienia, postępu nie ma, na ziemi o nic nie trzeba walczyć, szczęście wieczne — to nirwana, szczęście doczesne — to asceza. Zdziwionemu W. Somersetowi Maugham Larry mówi ufnie:

„Potrzebuję na życie bardzo mało, obojętne mi, gdzie śpię i wystarcza mi jeden posiłek dziennie”. Tymczasem między śmiercią lotnika na froncie a taksówką w Nowym Jorku zdarzyło się na świecie wiele rzeczy: narzeczona Larrygo.

(Dokończenie na stronie drugiej)



GEORGE CHANDES BIDWELL

Rozwój i upadek prasy brytyjskiej

Dziennikarstwo istniało przed powstaniem dzienników. „De Bello Gallico” Juliusza Cezara to właściwie nie innego, jak świetne reportaż „od specjalnego korespondenta”, których celem było wstawienie inienia Cezara wśród ludu rzymskiego i przypomnienie im kontrastu między ofiarnością walki w polu za odczynne a sprzedajnym i niewieściwym trybem życia stanu senatorskiego w metropolii. Duch dziennikarski przemawia również za najstarszego manuskryptu świata — około 2 tysiące lat przed Chrystusem — przechowanego w zbiorach biblioteki narodowej w Paryżu. Stary kapłan wyraża w nim swe żale, że świat nie jest już taki, jak za dni jego młodości, że złoty wiek ludzkości przeminął i że czasy współczesne (jemu współczesne) są zdegenerowane.

Najwcześniejsza próba dziennikarstwa w Anglii były prawdopodobnie „Tygodnik Nowiny z Włoch, Niemiec i Węgier” (Weekly News from Italy, Germany and Hungary), które ukazywały się po raz pierwszy dnia 23 maja 1622 roku — dokładnie przed 346 laty. Liczba drucków i pism wzrastała od tamtego czasu w szybkim tempie.

W roku 1643 władze zorganizowały nowy system cenzury, przeciw któremu występował John Milton w swojej skomplikowanej rozprawie p. t. „Areopagitica”. Jednakże rozprawy i broszury ukazywały się nadal, aż w roku 1655 Henry Muddiman wydał w Oksfordzie — dokąd dotąd się przemieścił, uciekając z Londynu przed morową zarazą — pierwszą właściwą gazetę ukazującą się dwa razy w tygodniu. „Gazeta Oksfordzka”. Samuel Pepys określił ją jako „bardzo ładną, pełną nowin i bez głupstw”. Nowocześnie redaktorzy mieliby zapewne zastrzeżenia co do tej opinii, ponieważ przez głupstwa Pepys rozumiał artykuły wstępne. Z numerem dwudziestym czwartym „Gazeta Oksfordzka” przeobraziła się w „Gazetę Londyńską” — London Gazette — i pod tą nazwą wychodzi po dziś dzień.

W trzy dni po wstąpieniu na tron angielski królowej Anny ukazało się pierwsze pismo codzienne — „Daily Courant”. Ograniczało się ono wyłącznie do podawania wiadomości, gdyż „czytelnicy powinni mieć dość rozsądku, aby sami komentować otrzymane informacje”. W roku 1704 w Szkocji zaczął wydawać pismo nie kto inny jak Daniel Defoe, uważany przez wielu za ojca dziennikarstwa angielskiego a przez niektórych za największego z wszystkich dziennikarzy Jego „Review”, prawie całokształt owoc własny pracy umysłu i rąk, był organem opiniotwórczym, podającym wiadomości w sposób obliczony na wywieranie wpływu o charakterze politycznym.

Daniel Defoe, to pierwsze wielkie nazwisko między wieloma na liście tych, których przeznaczeniem było znosić osobiste prześladowania za słuszną sprawę otwarcia oczu szerokiej warstwy ludności na błędy i nadużycia władz. Bezpośrednio przed rozpoczęciem wydawania „Review”, Defoe ogłosił rozprawę pt. „Najlepszy sposób zlikwidowania nonkonformizmu”, w której proponuje wieszczenie każdego kaznodziei i rozpędzanie kongregacji na cztery wiatry. Torisy, nieświadomi autorstwa rozprawy, przyjęli ją początkowo na serio. Zmesta ich była straszna, gdy zorientowali się, że cała rozprawa jest jedną wielką satyrą napisaną przez człowieka, który sam był nonkonformistą, celem wykpienia i podkreślenia ekcesów popelnianych przez przeciwników. Defoe za swoją śmiałość został uwięziony, skazany na grzywnę i trzy dni pręgięza.

Jeżeli określimy dziennikarstwo, jako sztukę pisania dla bezpośrednich celów praktycznych, to Defoe był mistrzem tej sztuki. Po pierwsze wybierał wiadomości, po czym sprawdzał je i uzupełniał dodatkowymi informacjami kontrolnymi i szczegółami potwierdzającymi przyjęte teze. Ale ponieważ twórczość Daniela Defoe wchodzi raczej w zakres studiów nad literaturą angielską, nie będziemy poświęcać więcej miejsca w artykule o rozwoju dziennikarstwa.

Jednym z pierwszych współzawodników Daniela Defoe był Richard Steele — znowu nazwisko dobrze znane studiującym literaturę angielską — który założył w roku 1711 do spółki z Addisonem sławne „Spectator”. Steele znalazł się obok Daniela Defoe wśród ofiar

prześladowania za działalność publicystyczną. Wykluczono go z Izby Gmin z powodu jego zbyt szczerych artykułów. Ten epizod świadczy o tym, że jeśli nawet król nie miał już w swym ręku kontroli prasy, jego ministrowie byli w stanie mścić się na jednostkach.

Sprawozdania z posiedzeń parlamentu były w owym czasie zabronione, ale „The Gentleman's Magazine” publikował od r. 1736 szczegółowe sprawozdania z parlamentu pod pretekstem że są to zmyślone „debaty w Senacie w Państwie Wielkiego Liliputa”. Za sprawozdania te między rokiem 1740 a 1743 odpowiedzialny był dr. Johnson i opowiadał sobie, że omawiając kiedyś z przyjaciółmi mowę Pitta, miał oświadczyć: „Przecież tę mowę ja napisałem w piwni na Exeter Street”, i wytłumaczył dalej: „Ja sam byłem w Izbie Gmin tylko jeden jedyny raz. Ale Cave (wydawca) nawiązał kontakt z odźwiernym, który wraz ze swoimi pomocnikami miał wolny dostęp do wszystkich sal. Ci donosili, jaki był temat dyskusji, nazwiska mówców, po czyjej stronie kto stał, kolejność przemówień, wraz z notatkami argumentów. To wszystko komunikowano mnie i ja układałem mowę w ich ostatecznej formie, w której ukazywały się później na lamach prasy”.

Z końcem panowania Jerzego II dzienniki doczekały się lepszych warunków egzystencji — przynajmniej jeśli idzie o objętość i kolportaż — niż kiedykolwiek przedtem. Zauważano to częściowo ogólnemu rozwojowi handlu oraz ustabilizowanej sytuacji w kraju, ale przede wszystkim przyczyniły się do zmiany na lepsze ogłoszenia jako nowy czynnik w gospodarce finansowej gazet. Już w tym wczesnym okresie wynalazek ogłoszeń wyzwał gazety spod kontroli pisarzy i drukarzy i oddawał władzę w ręce właścicieli. Pierwsze oznaki nadchodzącej monopolizacji były już dostrzegalne; lecz tymczasem — w przeciwieństwie do naszych czasów — dzienniki wykorzystywały swoją stabilizację dla swobodniejszego występowania w imieniu opinii publicznej, dla walki o prawa ludu przeciw królowi i ministrom.

Wyrazicielem opinii rządu był nowopowstały dziennik pod nazwą „The Briton”, którego sława i znaczenie znikły zupełnie w cieniu jego zjadliwego przeciwnika, „The North Briton”. I tu rozpoczyna się wielka bitwa o prawo publikowania sprawozdań z posiedzeń parlamentu.

Dziennik „The North Briton” założony w roku 1762 John Wilkes, reformator i działacz społeczny, posel do parlamentu z okręgu Aylesbury. Wrogowie określali go jako „rozpustnego awanturnika bez czci i sumienia”, lecz on cieszył się powszechną popularnością. Nawet tak powszechny i trzeci autorzytet jak Encyclopaedia Britannica mówi o nim: „Jego charakter, z jego własnej winy, był narażony na gwałtowne ataki, których źródło można było wysledzić w poczynaniach Lorda Broughama lub Horacego Walpole. Wilkes lekomyślnie sobie tych ludzi naraził. Jego rozmowa rola się od nieprzyzwoitości, nie panował nad sobą w stosunku do kobiet, choć był powściągliwy pod innymi względami, i na równi z większością wybitniejszych postaci na forum publicznym owego stulecia odznaczał się ekstrawagancją i dziwactwem. Jego cyniczny sposób wyrażania się psuł mu opinię w wiktoriańskim towarzystwie: nigdy nie uczynił nic dobrego bez podania egoistycznego powodu swojego postępków. Lecz nieuczciwość, okrucieństwo, tchórzostwo i hipokryzja były mu obecne: pieniądze publiczne przechodziły przez jego ręce niekłnięte”.

Błyskotliwość i zjadliwość ataków Wilkesa na Lorda Bute zmusiły do milczenia prasę rządową i wywołały falę oburzenia, która w rezultacie zmiołła premiera z zajmowanego stanowiska. Wilkes zdobył — prawdopodobnie dzięki Pittowi — tekst mowy tronowej przed jej wygłoszeniem na otwarciu nowej sesji parlamentu. W mowie król powoływał na premiera Jerzego Grenville. Nominacja ta nie była niczym innym jak kamuflażem dawnego autokratycznego reżimu i Wilkes w słynnym numerze 45 „North Briton”

opublikował piorunującą atak na mowę króla, którą określił jako oszustwo.

Atak Wilkesa poprzedził swój artykuł ostróżną uwagą, że „mowa tronowa była zawsze zarówno przez prawo, jak i przez opinię publiczną uważana za mowę ministra”, jednak Jerzy I uznał za stosowne potraktować artykuł Wilkesa jako obrazę osobistą i zarządził natychmiastowe postępowanie karne. Wydano „generalne pełnomocnictwo” (beziemny nakaz aresztowania) i Wilkes wraz z 48 towarzyszami został aresztowany w siedem dni po ukazaniu się obraźliwego artykułu. Wtrącono go do Tower i przez jakiś czas trzymano w najcięższym osobnieniu. Należy pamiętać, że Wilkes był posłem do parlamentu i ku ogólnej radości szerokiej mas ludu przez najwyższego sądu Pratt miał odwagę nakazać uwolnienie, oświadczył, że aresztowanie to było naruszeniem przywilejów nietykalności poselskiej. Wilkes wystąpił natychmiast do sądu z oskarżeniem przeciw Lordowi Halifax i podsekretarzowi stanu Woodsovi,

pięć lat później — aresztowano. Ale ponieważ Wilkes był właśnie mianowany sędzią magistrackim, ułożono sprawę w ten sposób, że Whebla doprowadzono do sądu w okręgu Wilkesa, który go oczywiście natychmiast uwolnił. Parlament był wściekły, ale Lord Mayor poparł Wilkesa i Whebla. Po skomplikowanych procedurach i rozpaczyliwych usiłowaniach — włącznie z aresztowaniem Lorda Mayora, ale nie Wilkesa — zachowania swoich przywilejów, parlament w końcu poddał się woli ludu. Od tej pory sprawozdania z posiedzeń parlamentu mogły być ogłaszane i swobodnie komentowane.

Następnym z kolei dziennikarzem angielskim, który zasługuje na szczególną uwagę, jest Tomasz Paine. Urodzony w Norfolk w 1737 roku, większość życia spędził w Stanach Zjednoczonych, gdzie uzyskał rozgłos jako publicysta. O jednej z jego rewolucyjnych broszur Waszyngton wyraził się, że „zmieniła światopogląd wielu ludzi”. W roku 1787 przybył do

Wal 300 funtów szterlingów rocznie od rządu a na uboczu zajmował się drobnymi szantażami i pobierał opłaty za niedrukowanie oszczerstw i paszkwili.

Dopiero w roku 1803, kiedy wyłączne kierownictwo objął John Walter Drugi, „Times” zaczął zdradzać oznaki zwiększonej odpowiedzialności. Nowy właściciel zdecydowanie przeciwstawił się korupcji i stopniowo wywołał swój dziennik spod tyramii łapówek i nieczystych interesów. Należy go niewątpliwie zaliczyć między reformatorów, ale nie bojowników. Był dość zdolnym pisarzem i przez szereg lat swoim własnym redaktorem, lecz przede wszystkim był niestety człowiekiem interesu, a w owych czasach przeciwstawianie się rządowi nie było dobrym interesem — jak przekonał się na własnej skórze Wilkes, Cobbett i Carille.

W roku 1817 Walter zdobył się na śmiały krok mianowania redaktorem torjowskiego dotąd „Timesa” człowieka o przekonaniach liberalnych, Tomasa Barnes, bez wątpienia wielkiego, choć konwencjonalnego dziennikarza. Barnes po objęciu kierownictwa „Timesa” wykazał się niezależnym i obiektywnym światopoglądem. Kierował się motywami patriotycznymi i wrodzoną nienawiścią do niesprawiedliwości — cechy, które, gdyby nie jego chęć służenia raczej interesom bogaczej się klasy średniej, niż interesom wyzyskiwanych mas pracujących, postawiłyby go w szeregu prześladowanych za sprawę wolności. Walczył jednak na swoją rękę i przeprowadził umożliwienie swobodnego komentowania wydarzeń, uzyskując w Anglii sławę pierwszego niezależnego redaktora pisma codziennego.

Tomasz Barnes tak dalece górował nad sceną życia dziennikarskiego swego czasu, że wszyscy historycy prasy angielskiej zgadzają się z zdaniem, iż dzieje pism codziennych na początku ubiegłego stulecia równają się historii rozwoju „Timesa”. Lord Kanclerz Lyndhurst określił go jako „najbardziej wpływowego człowieka w kraju”, aczkolwiek Barnes ściśle przestrzegał zasady anonimowości, której był namyślnym wyznawcą. Podniesienie znaczenia artykułów wstępnych było głównym przedmiotem starań Barnes. Bezsłownie trzeba przyznać, że niezależnie od poglądów politycznych, była to postać o znaczeniu historycznym na dużą miarę, która uzyskała dla młodego zawodu dziennikarskiego uznanie wśród intelektualistów. O przeciętnym czytelniku swojego czasu Barnes nie miał zbyt wysokiej opinii i nie krępował się w jej wyrażaniu: „Dziennikarstwo jest sztuką sui generis — mówił — jest tym w literaturze, czym koniak wśród napoi, John Bull, którego umysł pracuje ospale — mówię o większości czytelników — potrzebuje silnej podniety. Polyka swój befszytk i nie może strawić go bez kieliszeczka. Drzemie w statecznym zamyśleniu nad swoimi przesadami, które jego zarozumiałstwo nazywa opiniami, i trzeba atakować jego intelektualną tępotę pociskami najcięższego kalibru, zanim obudzi się odrębnie rozumienia czy zainteresowania”.

Podczas gdy „Times” postępował naprzód pod osłoną kanonady Barnes — przeżywało go „Piorunowładny” — kajdany krępujące dziennikarską przedsiębiorczość opadały jedne po drugich. W roku 1825 zniesiono ograniczenie objętości gazet, w roku 1833 podatek od ogłoszeń zmniejszono a w roku 1826 podatek skarbowy obniżono do jednego pensja.

Zatargi parlamentarne z prasą nie skończyły się na zwycięstwie Wilkesa, chociaż prawo publikowania sprawozdań z debat parlamentarnych było już ustalone. Publicyści oraz wszyscy, którzy wydawali, sprzedawali lub kolportowali ich broszury i pisma, podlegali surowym przesłachaniom, jeżeli krytykowali istniejący rząd. Ponieważ nie było procedury, za pomocą której lud mógłby na pokojowy drodze obalić autokratyczny rząd lub zmienić konstytucję, klasy rządzące uważały, że każde niezadowolone grozi wywołaniem rewolucji — wobec czego ci, którzy wzbudziły niezadowolnienie, szły na karę. Wskazywanie braków konstytucji lub błędów ze strony rządu było kryminalnym przestępstwem. Jeden z sędziów w roku 1811 ustanowił następujący przepis prawniczy: „Mówi się, że mamy prawo dyskutowania postanowień naszej legislatury. Byłoby to rzeczywiście wielką swobodą. Czyż mielibyśmy moi panowie, dać pospolitemu ludowi silę sprzeciwiania się postanowieniom parlamentu? I czy bentownik ma prawo podburzać lud do niezadowolnienia z rządu, pod którego władzą żyje? Na to nie można pozwolić żadnemu człowiekowi: to jest niezgodne z konstytucją i buntownicze”.

Bluznierstwa przeciw religii i Pismom Świętym były również niedozwolone. Przez sądy Raymond sformułował ten przepis prawny w roku 1729 w części prawa Anglii i jako takie w sposób następujący: „Chrześcijaństwo w ogólności stanowić może powszechne prawo Anglii i jako takie cieszy się jego opieką. Ktokolwiek więc atakuje korzenie chrześcijaństwa, godzi wyraźnie w całość i spójność rządu państwa, i byłoby absurdem dozwolnić, że wysiłki w celu obalenia religii państwowej nie powinny być karane przez prawo tegoż państwa”. W postanowieniu tym, które stało

się podstawą do niezliczonych prześladowań, można znaleźć ślady dawnego zabobonu, za pomocą którego autokratyczne rządy usiłowały w oczach prostego ludu utożsamić się z Bogiem przez wyzyskanie powagi Kościoła. Kler zwykle z chęcią zgadza się na wzmocnienie swego stanowiska za pomocą takiego przymierza i zwalczanie dążenia szerokiej mas do większej swobód.

Tak więc długotrwała walka o wolność prasy była walką o prawo do opozycji, o prawo przemian, prowadzoną przeciw ludziom, którzy obawiali się niewiedzy. Był to apel do ludzkiej natury, wezwanie do tych, którym nie podobano się, że częściej współczesny samowolnie przyjęła na siebie rolę opatrności kierującej losami reszty. Jak większość wielkich angielskich walk o wolność, była to zarazem walka o religijną. Dlatego też ustawa o bluznierstwach stała się w pewnym równie licznych prześladowań, jak ustawa o podburzaniu do buntów.

Bezpośrednim celem walki było położenie kresu prześladowaniom za opozycję w stosunku do rządu lub za krytykowanie Kościoła.

Należy pamiętać, że w owym czasie w Anglii parlament opierał się na prawie wyborczym niewielkiej gacsi uprzywilejowanych, a rząd nie był w żadnym sensie rządem ludowym.

Z walką o wolność prasy wiązała się walka o prawa ludu. W awangardzie tej walki szły nie dzienniki, jak „Times”, ani wielkie czasopisma periodyczne, lecz książki i broszury, oraz pewien specjalny gatunek periodyku, zwany tygodniowym ulotką lub tygodniowym rejestrem wydarzeń politycznych. Różniły się one od wielkich czasopism periodycznych tym, że zajmowały się raczej bieżącymi wydarzeniami, nie zagadnieniami o charakterze ogólnym. Różniły się od dzienników, ponieważ miały na celu komentarze, nie tylko informowanie. Różniły się od periodyków i dzienników na równi tym, że kładły nacisk na politycznych, nie zagadnieniach politycznych była dziełem jednego narzucając intelektu, jednostki, prawnie bez pomocy. Dziennik był przede wszystkim przedsiębiorstwem handlowym, główny nacisk kładziono na ogłoszenia, z nerwową obawą narażania się rządowi albo artystokracji, co było właściwie jednym i tym samym. Natomiast większość tych drobnych ulotek politycznych miała na celu wpływanie na opinię, nie wpływy do kasy — był głos obywateli pozbawionych własnych przedstawicielstwa. Głos obywateli, który niedawno dopiero nauczyli się czytać i obecnie stanowili szeroką rzeszę spragnionych drukowanego słowa konsumentów tablic pism. Ci pionierzy popularnych tygodników mieli na celu kształcenie mas, nie nabijanie własnych kieszeni. Dochodami z tego nowego rynku zbudowała dziennikarstwa — jak tego dowiedli gotowością do znoszenia prześladowań.

William Cobbett, wielki działacz w polu wolności prasy, urodził się w roku 1763 jako syn drobnego farmera. Próbował różnych nieinteresujących zawodów, w końcu wstąpił do wojska, gdzie poświęcając wiele czasu i pracy na kształcenie się, szybko awansował do stopnia starszego sierżanta. W roku 1791 stał się do dymisji i wyjechał do Ameryki, skąd w roku 1800 powrócił do kraju, gdzie poprzedał go już sława jego regularnie publikowanych artykułów. Powitano go z entuzjazmem jako pierwszorzędną siłę w dziennikarstwie. Pitt, spotkawszy go na jakimś przyjęciu, zaproponował mu nie tylko kierownictwo, ale nawet własność jednego z najpoważniejszych dzienników rządowych. Cobbett odmówił a w roku 1802 założył tygodnik „Political Register”, który później redagował i do którego regularnie pisywał aż do swojej śmierci w roku 1835.

Około r. 1806 Cobbett otworzył atakował tak przez siebie ochrzczony system Pitta jako źródło wszelkiego złego, potępiając metody prowadzenia wojny z Napoleonem, rozmożenie synekur i rent i zastraszający wzrost długu narodowego. Wypowiedział bezwzględnie wojnę wszystkim, których nieokreślone a często misterniejsze alie try finansowe spółki akcyjne, udziały i obiekty i dochody tworzą dzisiejszy świat wielkich finansów; jak mówi o nim Chesterton: „w najgorzszym wypadku nierealny, w najlepszym niewydzielny”. Napiętnował w tej początkowym stadium te wielką fikcję prawną, która nosi nazwę operacji finansowych i świat, w którym tajemnice tych operacji mnożyły się z ledzym dniem. Wskazał, jak wzrost długu państwowego prowadzi do powstania nowej klasy pasyżującej na pracy ludu.

(Dokończenie w następnym numerze)

OD REDAKCJI

Autor artykułu stał w ciągu trzech i pół lat na czele brytyjskiego ośrodka informacyjnego w Polsce „British Council”. Przed kilku tygodniami G. Ch. Bidwell ogłosił w prasie polskiej oświadczenie, w którym stwierdza, że rezygnuje ze swego stanowiska, i przyjmuje obywatelstwo polskie, zely jako wolny człowiek służyć sprawie pokoju i postępu. „Naród angielski jest lepszy niż jego obecny rząd” — stwierdził G. Ch. Bidwell, piętnując reakcyjną, imperialistyczną politykę rządu brytyjskiego.



William Gropper — Imperializm

których w rezultacie ukarano grzywną w wysokości 4.000 i 1.000 funtów szterlingów. W ten sposób stwierdzono nielegalność „generalnych pełnomocnictw” i ustalono prawo prasy do swobodnego krytykowania mowy tronowej.

Człowiek, który tak świetnie wygrał pierwszą rundę w bitwie o wolność prasy, odznaczał się byskotliwością dowcipu, której niewiele mogło sprostać. Kiedyś, gdy poczesztowano go tabaką, miał odpowiedzieć: „Dziękuję, nie posiadam małych wad”, a jego replika na zaczepkę Lorda Sandwiche przeszła do historii. Szlachetny Lord zechciał laskawie przepowiedzieć Wilkesowi, że umrze on albo na galerych albo na chorobie wenerycznej. Natychmiastowa odpowiedź brzmiała: „To będzie zależało, milordzie, od tego, czy przyjmę pańskie zasady, czy pańskie kochanki”.

Współczesnie za sprawę Wilkesa ukazały się słynne „listy Juniusa”, które ustaliły zasadę dziennikarskiej anonimowości i naśladowały Daniela Defoe w oparciu o opinię publiczną przeciw potęgę i autorytetowi autokratycznego rządu. W roku 1770 proces przeciw drukarzowi „Public Advertiser” za wydanie „Listu Juniusa do Króla” zakończył się praktycznie biorąc uwolnieniem oskarżonego od winy i kary. Wkrótce potem pewna liczba dziennikarzy opublikowała w rozmaitych gazetach szereg sprawozdań z parlamentu, zredagowanych w obraźliwy sposób. Wydaną proklamację przeciw sześciu drukarzom i jednemu z nich, Whebla z „Middlesex Journal” — dziennik po-

kraju i niezwłocznie zaatakował militarną politykę Pitta, ogłaszając swoje „Prawa człowieka” w odpowiedzi na Burke’a „Uwagi o Rewolucji Francuskiej”. Broszura ta uzyskała taką popularność, że zaniepokojony rząd postanowił przeszkodzić jej rozpowszechnianiu. Wprawdzie Pitt był aż tak wielkoduszny, że przyznał rację Tomaszowi Paine, lecz jednocześnie udzielił zgody na kontynuację prześladowań: „Cóż mogę zrobić? W obecnym stanie rzeczy, jeśli bym poparł poglądy Paine’a, wybuchłaby rewolucja”. Paine’a oskarżono o zdradę w roku 1792, lecz zanim doszło do procesu, wybrano go do francuskiego Kontentu na posła z departamentu Calais. William Blake, poeta, przeczornie i pośpiesznie wywoził go z Anglii.

Paine napisał wówczas „Wiek rozumu”, w którym przedstawia punkt widzenia kwakra, nie wierzącego w objawianą religię. „Wszystkie religie — pisał — są z natury swojej łagodne i dobrodziejne, dopóki nie złączą się z systemem politycznym”.

Znaczenie Tomasa Paine’a w historii dziennikarstwa angielskiego polega na tym, że stał się on natchnieniem wielu bojowników o wolność prasy, włącznie z Williamem Cobbettem i Ryszardem Carille.

Być Anglikiem — powiada G. K. Chesterton — to znaczy niczym się nie przejmować, zadawać się kompromisami i wierzyć we wszystko, co pisze „The Times”. Więc zanim zajmemy się z kolei Williamem Cobbettem i Ryszardem Carille (nie mieszczą z Tomaszem Carlyle) musimy poświęcić nieco uwagi początkowemu fazom, przez które przeszedł „Times”, zanim uzyskał swoje wybitne stanowisko wśród tych nielicznych współczesnych dzienników angielskich, które nie uważają wysokości nakładu za jedyny sprawdzian wartości dziennikarskiej.

Dnia pierwszego stycznia 1785 roku ukazał się pierwszy numer dziennika „Daily Universal Register”, który w trzy lata później zmienił tytuł na „The Times”. Zwycięstwo Wilkesa nad Izby Gmin w tym okresie przyniosło prasie pewną niezależność: lecz wyzolenie to było jeszcze w powiatach, czytelnikami dzienników były przeważnie bywalcy kawiarni, korupcja kwitła a słowo „dziennikarz” wciąż jeszcze nasywało na myśl prześladowania, szkyany i presję polityczną. Pod kierownictwem Johna Waltera Pierwszego, przedsiębiorczego lecz niezbyt skrupulatnego człowieka interesu, założyciela, właściciela i redaktora, „The Times” nie zachowywał się lepiej, niż większość jemu współczesnych. Istnieją dowody, że przez dziesięć lat dziennik otrzymy-

Tadeusz Borowski

(Essay ze zbioru, który ukaże się niebawem nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego)

ŚWIERSZCZYK I ŁASKA BOGA

(Dokończenie ze strony pierwszej)

piękną lecz samolubną Izabella wyszła za mąż i spłodziła kilkoro dzieci; w Ameryce ludzie porobili i stracili majątki, przewalili się nad światem kryzys, wybuchły i cichły rewolucje, miliony ludzi umierało w Indiach z głodu, formowały się bataliony faszyzmu; rentierzy siedzieli w Nici, przysłuchując się drżącym gieldy, dziewczęta paryskie szły na utrzymanie do turystów, zarabając na wyprawę ślubną, snobi chodzili na przyjęcia na Złotym Wybrzeżu, również sekretarki miały swoje przyjemności:

„Jestem córka pastora, drogi panie — rzekła sekretarka księżny Novemali, gdy W. Somerset Maugham spytał ją, czy będzie na wielkim przyjęciu — i zostawiam takie błazenstwa wyższym sferom. Gdy przypłynę, by dziennikarce z Herald i Mail dostali dobrą kolację i prawie najlepszy szampan, wtedy nastąpi

koniec mych obowiązków i wtedy schronię się do sypialni z powieścią kryminalną”.

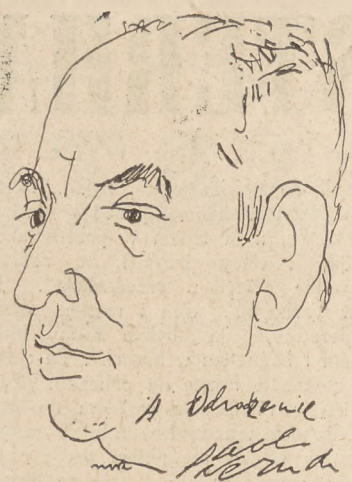
IV

Czegóż oni nie robią za pieniądze! Pewna dziewczyna amerykańska założyła się o dwa dolary, że zje żywego konika polnego. Zjadła. Na pytanie, jak smakował, odpowiedziała: „Trochę chrupał w zębach”. Obrona świętej własności prywatnej przynosi więcej pożytku. Leslie Charteris dzięki zbrodniom swego bohatera kupił sobie samolot. W. Somerset Maugham urządził sobie wygodne życie. Trzeba podziwiać ich umiejętność korzystania z dobrodziejstw klasowych ustroju, ich zapal i wiarę w słusność sprawy, ich solidarność. W obronie kapitalizmu detektyw godzi się z mistykami, bankier z anegatem, adwokat z mordercą, jogi z faszystą. Pius XII z Edgarem Wallace, Lord Vansittart z Agatą Christie.

PABLO NERUDA

PIEŚŃ DO STALINGRADU

przełożył CZESŁAW MIŁOZS



rys. Marek Rudnicki

W nocy chłop śpi, budzi się, zanurza rękę w ciemności i pyta jutrenki: brzasku, słońce poranne, światło idącego dnia. powiedz czy ręce czyste ludzi wciąż bronią twierdzy honoru, powiedz, brzasku, czy stał na twoim czole łamie swoją moc, czy człowiek jest na swoim miejscu, czy grom jest na swoim miejscu, powiedz mi, młody chłop, czy ziemia nie słyszy jak pada krew poczerwieniałych bohaterów w obszarach ziemskiej nocy, powiedz czy ponad drzewem jest wciąż jeszcze niebo, powiedz czy proch wciąż jeszcze dźwięczy w Stalingradzie.

I marynarz pośrodku móż strasznych spogląda szukając pośród mokrych konstelacji jednej czerwonej gwiazdy płomiennego miasta i odnajduje w sercu tę gwiazdę co płonie, tę gwiazdę dumną której pragną dotknąć jego ręce, tę gwiazdę z placu oczami budowaną

Miasto, czerwona gwiazdo, mówią człowiek i morze, miasto, zawrzyj promienie, zawrzyj twarde bramy, zawrzyj miasto, swój sławny wawrzyn zakrawiony i niech noc drży smutną wspaniałością i twoich oczu co są za planetą mieczy.

A Hiszpan przypomina Madryt, mówi: siostrzo, trwaj w oporze, stolicę chwały, trwaj w oporze. Ziemia zgromadziła całą krew przelaną Hiszpanii, dla Hiszpanii wstaje krew na nowo; i Hiszpan pod murem w chwili egzekucji zapytuje czy Stalingrad żyje, i w więzieniu łańcuch czarnych oczu i twoje imię ryje na ścianach, i Hiszpania wstrząsa twoją krew, twój umarł, bo dałaś jej, Stalingradzie, swoją duszę, kiedy Hiszpania nosiła, jak twoją, bohaterów.

Zna samotność Hiszpania jak ty dziś znasz samotność swoją, Stalingradzie. Hiszpania darła ziemię paznokciami kiedy piękniejszy niż kiedykolwiek był Paryż. Hiszpania wykrawiała olbrzymie drzewo krwi kiedy Londyn, jak opowiada Pedro Garfias, cesał swoje trawniki i jeziora łabędzi.

Dzisiaj znasz to już, mocna dziewico. Dzisiaj znasz już, Rosjo, samotność i chłód. Kiedy tysiące pocisków niszczy twoje serce, kiedy skorpiony ze zbrodnią, z trucizną podchodzą aby gryźć wnętrze twoje, Stalingradzie, Nowy Jork tańczy, Londyn rozważa, a ja wołam: gryź, bo serce moje nie może tego znieść, bo nasze serca nie mogą tego znieść, nie mogą znieść, w świecie, który pozwala samotnie mrzeć bohaterom.

Czy zostawicie ich samych? Przyjdą po was jeszcze! Czy zostawicie ich samych?

Czy chcecie aby życie uciekło do grobu i uśmiech ludzi zatarły latryny i krzyżowe drogi? Czemu milczycie?

Czy chcecie więcej umarłych na Wschodnim Froncie aż wypełnią całkowicie wasze niebo? Ale wtedy tylko piekło wam zostanie. Małymi czynami świat jest już znużony. Cóż z tego, że generałowie na Madagaskarze bohaterko zabijają pięćdziesiąt pięć małp.

Świat jest znużony jesiennymi zebraniami którym przydiuje parasol.

Miasto, Stalingradzie, my nie możemy osiągnąć twoich ścian, jesteśmy daleko. Jesteśmy Urugwajczycy, jesteśmy Araukanie, jesteśmy Patagończycy, jesteśmy Guarani, jesteśmy Chilijczycy, jesteśmy Meksykanie, jest na miliony ludzi.

Mamy krewnych na szczęście w rodzinie, ale nie przyszłymi jeszcze bronić ciebie, matko. Miasto, miasto ognia, trwaj do tego dnia aż przyjdziemy, Indianie, rozbitkowie, dotkną twoich ścian pocałunkiem synów którzy przyjąć mieli nadzieję.

Stalingradzie, wciąż nie ma Drugiego Frontu, ale ty nie padniesz, choć żelazo i ogień kłają cię dzień i noc.

Nawet jeżeli umrzesz, nie będziesz umarł!

Bo ludzie dzisiaj śmierci już nie znają, ale muszą walczyć dalej tam gdzie padną, aż zwycięstwo będzie tylko w twoich rękach, choćby zmęczeni byli, sławni i umarli, bo inne czerwone ręce, gdy wasze opadną na świat posiadają kości swoich bohaterów aby twoje nasienie napelniło ziemię

OSTAP DŁUSKI

MARTIN ANDERSEN NEXØ

Przemówienie na Akademii z okazji osiemdziesięciolecia urodzin Martina Andersena Nexø

(Warszawa, 1 lipca 1949)

Droga Martina Andersena Nexø, którego osiemdziesięciolecie urodzin obchodzi dzisiaj cała postępowo ludzkość jest drogą pisarza-rewolucjonisty, który całe swoje życie poświęcił sprawie wyzwolenia mas pracujących. Andersen Nexø, syn ludu duńskiego, zespolił swą twórczość i działalność polityczną z klasą robotniczą. Ujrzał on w niej jedyną siłę, zdolną cbałić ustroj nędzy i krzywdy społecznej i zbudować świat ludzi wolnych i szczęśliwych. Źródłem jego twórczości jest ukochanie człowieka.

W swoich dziełach „Pelle - Zwycięzca”, „Czerwony Morten”, „Stracone pokolenie”, w czterech tomach swich „Wspomnień”, Nexø daje nam obraz społeczeństwa kapitalistycznego, różnych jego warstw i środowisk; pokazuje jak system gospodarki kapitalistycznej niszczy człowieka; jak wbrew istniejącym już dzisiaj olbrzymim materialnym zasobom ludzkości, które współczesna nauka i technika mogłyby nieścierpnie pomnożyć, kapitalizm hamuje rozwój sił produkcyjnych, rodzi nędzę, ból i rozpacz milionów ludzi pracy. Czy to malując życie ludzi, zarówno możnych, jak i wydziedziczonych, w na wół feudalnym majątku na Bornholmie, czy losy Pellego w dusznej atmosferze małego miasteczka, czy wreszcie kreśląc obrazy życia i walki robotników — Nexø siłą swej myśli i ekspresją swego słowa narzuca czytelnikowi nieodparty wniosek: ten świat trzeba zmienić, jeśli ludzkość chce żyć!

Dążenie do sprawiedliwości społecznej, szukanie drogi wiodącej do nowych, lepszych form współżycia ludzi, bunt uciskanych przeciw krzywdzie, walka uświadomionych robotników o przeobrażenie świata, stanowią główną treść, istotę twórczości i działalności politycznej Andersena Nexø.

Sprawa ludzka, dola człowieka, znalazły w nim żarliwego, płomiennego, nieugiętego trybuna i obrońcę. Jak wielki Maksym Gorki, Andersen Nexø wprowadził do literatury kwestię nieuniknionych rewolucyjnych przemian społecznych i masy pracujące jako głównego bohatera swych dzieł.

Twórczość literacka i działalność polityczna Andersena Nexø stanowią jedność. Z prawdy i obserwacji pisarza wyciąga konsekwentnie prawdę politycznego działacza, czyn rewolucyjny staje się z kolei natchnieniem pisarza-twórcy. „Poeta, dźwiga największą odpowiedzialność wobec ludzkości, największą jaką da się pomyśleć” — tymi słowami kończy Nexø czterotomową opowieść o swoim życiu. A w innym miejscu tych samych wspomnień czytamy: „Jak można stać się poetą? Pytanie to stawiano mi tak często i z tak różnych stron, że zmuszony byłem wyjaśnić sobie samemu tę sprawę, chociaż nie interesowała mnie ona zbyt. Nie widziałem nigdy istotnej różnicy między poetami, a innymi ludźmi — chyba, że poeta sam starał się podkreślić różnicę przez swe sztuczne postępowanie. Bardziej interesowało mnie pytanie, jak stać się człowiekiem, bo zdawało mi się, że to jest jedynie słuszna droga. Im mocniej ukwi poeta w sprawach ogólnoludzkich im wierniej szym staje się ich wcieleniem, tym większe jest jego znaczenie dla ludzkości”. A za główną spośród spraw ludzkich uważa Andersen Nexø walkę o szczęście człowieka. Do komunizmu doprowadziła go prawda jego twórczości.

Pisarze burżuazyjni zarzucali mu — podobnie jak innym pisarzom rewolucyjnym, że jego świat, świat socjalizmu, niweczy indywidualność człowieka, wiezi jego „duszę”. Mówią nam, że chcemy wypęcić ducha — powiedział Andersen Nexø parę dni temu w swym przemówieniu na uroczystościach w Kopenhadze — o jakież to duszy myślał ci panowie? Czy o tej, której głównym ośrodkiem jest żołądek, którą karmi się ostrygami i paszтетem z gęsih wątróbek? Nie przeczymy, że tę duszę chcemy naprawdę „zniszczyć”, jak nie wierzymy w szlachetne pobudki tych, którzy chcą rozwijać indywidualność swoich bliźnich za pomocą głodu. Troška o chleb powszedni nie jest naszym zdaniem odpowiednim materiałem uszlachetniającym i dlatego chcemy troszkę tę usunąć z życia ludzkiego. Nie chcemy niwelować indywidualności. Pragniemy jedynie usunąć z drogi ludzi to, co przeszkadza rozwojowi ich wrodzonych zdolności”. A w swoim przemówieniu na uroczystościach puszkinowskich w Moskwie powiedział: „W Związku Radzieckim, w Republice mas pracujących ceni się ludzi wybitnych, jak nigdzie na świecie. Stary świat chwelił się swoim „indywidualizmem”, ale w rzeczywistości deprecjował, przemieniał je w bezosobową masę, gdy nie może ich więcej użyć dla reklamy... Jak wspaniała jest wdzięczność narodu rosyjskiego dla wielkiego poety Puszkina! W starym świecie nie rozumieją tego, nie mogą zrozumieć. Wielki? Ale dla burżuazji wielkie jest tylko to,

co daje zysk. Poeci nie są notowani na giełdzie... Stary świat mówi do poety: Przyszłość? Nie chcemy nic słyszeć o przyszłości. Pisuj ody status quo lub opiewaj średniowiecze. Wróc nam średniowiecze z jego przymusową pracą i pańszczyzną, a składać ci będziemy hołdy... Tylko w nowym świecie — końcu Andersen Nexø — czci się tych, którzy przewodzą ludzkości w jej pochodzie naprzód!”

Jak Maksym Gorki pierwszy spośród wielkich pisarzy świata powitał zryw ludu rosyjskiego 1905 roku w walce o wolność, tak Andersen Nexø powitał Wielką Rewolucję Październikową jako zwiastuna nowej epoki w historii ludzkości.

Tego burżuazja nie może przebaczyć wielkiemu pisarzowi. Panowie imperialiści tolerują wszelkie „izmy”, najbardziej światoburcze „teorie” i teoryjki ale rzucają anatemię na tych, którzy opowiadają się po stronie Związku Radzieckiego. Burżuazja wyczuwa nieomylnym instynktem klasowym, że miłość i przywiązanie do wielkiego kraju socjalizmu stanowią o wierności dla klasy robotniczej.

Nie mogą również wybaczyć Andersenowi Nexø jego postawy patentowni agencji imperializmu prawicowi socjaliści. Już w czasie pierwszej światowej wojny imperialistycznej rozpoczęła się zwała Andersena Nexø z oficjalną socjaldemokracją. W „Czerwonym Mortenie” demaskuje on i piętnuje prawicowo socjalistycznych pacholków burżuazji. Dawno już dostrzegł w nich Nexø kscmpolitów na służbie imperializmu. „Małe państwa wepchnięte między wielkie mocarstwa — perur-e socjaldemokrata w „Czerwonym Mortenie” — hamują postęp. Szwajcaria, Dania i inne małe państwa kładą, aby się do nich odnosić jak do niepodległych narodów. Ale to jest reakcja!” W rozumieniu Andersena Nexø zdrada interesów klasy robotniczej prowadzi do zdrady narodu na rzecz imperializmu. Dla Andersena Nexø sprawdzianem prawdziwego socjalizmu i internacjonalizmu jest stosunek przedstawiciela panującego narodu do narodu podbitego. W liście otwartym do robotnika holenderskiego Andersen Nexø stawia zasadnicze pytanie:

„Robotniku holenderski, co myślisz o bombardowaniu stolicy Indonezji?... Po czyjej stronie stajesz dzi-

siaj gdy „powietrzne diabły” sięją śmierć nie na rozkaz Hitlera, lecz na rozkaz socjaldemokratycznego prezesa ministrów? Obawiam się, że Ty robotniku holenderski, nie myślisz dostatecznie po proletariacku, w przeciwnym razie protestowałbyś przeciw temu bestialstwu w swim własnym i Indonezyjczyków imieniu... Stara socjaldemokracja w osobach jej prawicowych przywódców sprzedawała siebie i swój naród klasom posiadającym, śniącym o panowaniu nad światem. Rozstałem się z tym kierunkiem — powiada Nexø. Jestem komunistą z poczucia honoru, z umiłowania godności ludzkiej!”

W roku 1936 Andersen Nexø bronił sprawy ludu hiszpańskiego przeciw generałowi Franco i jego protektorom, w czasie okupacji był duszą ruchu oporu przeciw najeźdźcy i nie uniknął hitlerowskiego więzienia — dzisiaj broni uciskanego ludu Indonezji, staje w obronie wszystkich uciskanych narodów, walczących o wolność i niepodległość przeciw imperializmowi.

Twórczość Andersena Nexø jest na wskroś narodowa. Z jego ksiąg wyziera do nas Dania, maly, piękny kraj o bogatej przeszłości, jej lud pracowity i szlachetny. Jego tradycje, jego walki o wolność przeciw obcym i własnym ciemnościom. Ale właśnie dzięki temu, że twórczość Andersena Nexø sięga głęboko korzeniami w lud, wydobyla ona na powierzchnię przeżycia, myśli, uczucia, w których odnajdują się proci ludzie wszystkich krajów świata.

Dzieło Andersena Nexø stało się własnością całej ludzkości, jak każde wielkie dzieło prawdziwie narodowe, przejęte przez całą ludź.

Andersen Nexø bliski jest nam Polakom szczególnie dzisiaj, gdy zwycięska klasa robotnicza Polski, gdy lud polski jął się wielkiego dzieła budowy socjalizmu, realizując w naszej ojczyźnie marzenia Pellego, Mortena, Ditty, marzenia o ojczyźnie-macie, która ludziom pracy zapewni dobrobyt, kulturę, pokój, radość życia pozwoli rozkwitnąć wspaniałym zdolnościom, jakim przyroda obdarzyła dzieci duńskie i — nasze polskie dzieci.

Jest bowiem prawdą, że sny o przyszłości bohaterów Andersena Nexø nie są obce polskim robotnikom i chłopom, naszym chłopcom

MARTIN ANDERSEN NEXØ przełożył ADOLF SOWIŃSKI

Termin i bezrobocie

Śmierć młodego majstra bardzo mnie poruszyła. Ten zgon wydał nam się czymś zupełnie niespodziewanym, chociaż byliśmy nań od dawna przygotowani. Zdawało mi się, że jakaś część bytu zapadła się nieodwołalnie z tą chwilą, gdy młody majster przestał mówić swym dobrym głosem i nie mógł już nazywać mnie malym czortem albo żalonym durkiem. Jego przewiszka przyjmowałem niby rodzaj piezyczoty.

I mnie Hansen ze Storegade, zieć Jępego Kollera. Byłem poniekąd sprzedany, a mój opór nie zdał się na nic. Stary Jęppe, który piastował godność ławnika, groził mi zastosowaniem wszelkich rygorów prawa, jeżeli dobrowolnie z całą masą przedsiębiorstwa nie przejdę do Hansena. Termin u mistrza szewskiego Hansena trwał cztery lata. Terminowałem więc jeszcze pół roku u niego. Miałem dostawać wyżywienie i dwie korony tygodniowo, jednakże bez zakwaterowania. Ponieważ za mieszkanie płaciłem tylko siedemdziesiąt pięć óreów), uzyskałem — po raz pierwszy w ciągu czterech lat terminu — stały dochód.

Nie straciłem nic na zmianie miejsca. Nowy warsztat był największym w mieście, a majster Hansen był człowiekiem, u którego panował porządek. Tutaj terminatorzy czegoś się uczyli. Nie znano tu zupełnie „świątecznego poniedziałku”, tak samo jak przedłużonej pracy wieczornej i pracy niedzielnej. Majster nie potrzebował kryć się przed klientami albo też mydlić klientom oczu, że sroowiec jeszcze nie nadszedł ze stolicy. Nigdy nie zalegaliśmy z żadną robotą. Każda robota była punktualnie gotowa w umówionym dniu. Mimo to praca trwała krócej. Mieliśmy jednogodzinną przerwę obiadową, a wstawaliśmy do pracy o siódmej. Wszystko szło jak w zegarku.

Majster nie pozwalał nam brać roboty na swoją rękę. O ileśmy potrzebowali pieniędzy, mogliśmy dostać odeń robotę nadprogramową na zasadach wynagrodzenia czeladniczego. Taka praca nie mogła jednakże nigdy trwać dłużej niż przez niedzielne przedpołudnie. W niedzielę po południu albo też w dzień powszedni po siódmej nie wolno nam było pracować.

Tu wreszcie mogłem wytrzymać przy robotcie. Nie potrzebowałem załatwiać dla majstra nieprzyjemnych spraw, nie musiałem czynić wysiłków, aby zborować dlań butelkę portwino. A po mimo to brak mi było młodego majstra, brak mi było jego dosyć niewyszukanych poufałości i jego śmiertelnie smutnych uśmiechów. Kiedy spoglądał na mnie swymi dobrymi oczyma, wyraża-

(Dokończcie na stronie czwartej)

* Ore — jedna setna część duńskiej korony.



A oto teraz wszystko minęło. I chociaż taka piezyczota była dość gruboskórna, to jednak wzbudzała we mnie uczucia rodzinne, ponieważ stosowała się tylko do mnie. Bo chociaż młody majster ochrzcił mnie mianem durmia, był on jedynym człowiekiem, który mnie przyjął tak, jak stałem, i który potrafił mnie znosić takim, jakim wtedy byłem.

i dziewięcym, dzieciom naszego ludu. Ditta jest rodzoną siostrą „Jasia, który nie doczekał” Marli Koponickiej.

Marzenia ludu o lepszym i szczęśliwszym życiu, wydobyte przez pisarzy i poetów na jaw, skojarzone przez nich ze słuszną myślą przeobrażenia świata, skierowane na tory twórczej, celowej pracy — są wielką siłą moralną, niewyczerpanym źródłem efluzjizmu w walce o zbudowanie ustroju sprawiedliwości społecznej. Andersen Nexø ujawnił w swych dziełach tę twórczą moralną siłę mas. Odsłonił on cudowną strnęę ojcowiskiej, matczynej miłości, jaka opromienia twarde życie rodzin robotniczych. Znajną te uczucia ojców i matek-robotniczek rewolucjonistów polscy, nie tylko ci, co sami wyszli z klasy robotniczej, ale i ci, których życie nielegalne zmuszało nieraz do korzystania z braterskiej, jakże ofiarnej, pomocy i gościnności towarzyszy-robotników. Pragnienie, by dzieciom żyło się lepiej, łączy, szczęśliwiej kojarzyło się tam zawsze z pragnieniem naprawy świata w ogóle. innego, lepszego urządzięcia stosunków ludzkich, ustroju społecznego, w którym raz na zawsze zniknie krzywdza człowieka. Chciałoby się powiedzieć, że robotnicy patrzą na przyszłość swych dzieci poprzez marzenie o lepszym, szczęśliwszym życiu — dla wszystkich. Z tych najgłębszych źródeł duszy ludu polskiego, z jego pragnień i tęsknot czerpał Bolesław Bierut, gdy mówił:

„Tysiąc lat liczy historia naszego narodu. Przez tysiąc lat lud pracujący budował Polskę w pocie czoła, niczego nie pragnąc prócz sprawiedliwości. Ale sprawiedliwości w Polsce nie było, jak nie było jej na całym świecie. Sprawiedliwość dla ludu była tylko marzeniem, a rzeczywistością był ucisk i krzywda. Nadeszła chwila, aby odwrócić koło historii i nadać mu właściwy kierunek: niech toczy się ku pożytkowi wszystkim!”

Właśnie, że wszystkich. Klasa robotnicza wyzwalając siebie, wyzwala wszystkich wydziedziczonych. Józef Stalin pisząc o Leninie, mówił o nim jako o „nowym wodzu nowych mas, prostych i zwykłych mas najgłębszych „nizin” ludzkości”. Klasa robotnicza i jej partie walcząc o nowy ustrój społeczny, budując socjalizm w braterskim sojuszu z pracującym chłopstwem, podnosi do nowego, twórczego życia wszystkich osieroconych, zahakanych, „małych”, szarych ludzi, wydziedziczonych z prawa do życia przez wieki pańszczyznianej i kapitalistycznej niewoli. Ditta, dziecko człowieka, jest symbolem niezliczonych rzesz ludzkich, zdanych na łaskę i nienaszkę niczym nie skrupowanej samowoli i tyranii możnych; ludzi pracy, którzy żyjąc w rozproszeniu, jakby sam na sam z wrogiem i ciemnością, nie doświadczali nawet dobrodziejstwa zrzeszania się z towarzyszymi niedoli dla wspólnej walki o lepszy byt. W dziejach życia Ditty odnajdujemy łosy dzieci bandosów i kulisiów, dzieci ghełta, dzieci niewolników kolonii, białych, czarnych, złotych. Wyprowadzić z domu niewoli te masy może tylko zwycięska klasa robotnicza, tylko socjalizm: tylko socjalizm przedzierzgać może niewolnika w człowieka.

Pełne gniewu i buntu oskarżenia Andersena Nexø pod adresem systemu kapitalistycznego który niszczy człowieka — są głównym źródłem przywiązania Nexø do świata socjalizmu, jakim jest Związek Radziecki, do świata, który podnosi, wywyższa człowieka, do krajów demokracji ludowej, do Polski. Nie masz zarządzać wdzięczniejszego zadania dla pisarza, jak wydobycie na jaw i nadanie kształtu artystycznego tym wszystkim procesom stawienia się nowego człowieka w krajach wyzwolonych z jarzma kapitalizmu. Andersen Nexø stale i konsekwentnie prześladował osiągnięcia krajów demokracji ludowej — postępującemu rozkładowi świata imperializmu.

W imię ukochania tego nowego życia Andersen Nexø stanął w w pierwszych szeregach bojowników o utrwalenie pokoju. Przyjechał na Kongres Wroclawski. Przewodnicząc na zebraniu w którym uczestniczyło 70 000 robotników i robotnic, inżynierów i techników. Andersen Nexø złożył z trybuny polskiego Wroclawia hołd twórczej pracy polskiego ludu. Dziś naród polski, polska klasa robotnicza, łącząca się z całą postępową ludzkością, w hołdzie dla wielkiego Duńczyka. Otuchę i niezłomną wiarę w zwycięstwo naszej sprawy czerpiemy z faktu, że Polska stała się poważnym czynnikiem: wielkiego potencjału pokoju i postępu, obozu, któremu dochowały wierności najwięksi pisarze i artyści: na wybitniejsi uczeni naszej epoki. Maksym Gorki i Henri Barbusse, Pawłow i Langewin, któremu mocy i świętości przydała dzisiaj Fajdziej i Eluard, Picasso i Joliet-Curie, oraz wielki pisarz i rewolucjonista, nieugięty orędownik pokoju i braterstwa ludów — Martin Andersen Nexø.

Ostap Dłuski

TERMIN I BEZROBOCIE

(Dokończenie ze strony trzeciej)

jąc podziękowanie za okazaną mi pomoc. Tu wszystko było w zupełnym porządku, żyło się nieźle, ściśle bowiem uważano na to, aby nikomu nie stała się krzywda. Ale wszystko razem wzięte było jakieś zimne. Brak mi było młodego majstra.

Mój kaszel spotęgował się, więc majster Hansen posłał mnie pewnego dnia do doktora Kabella. Ten lekarz słynął w mieście jako aktor z przedstawień amatorskich. Lekroć szedł ulicą, nucił zawsze melodie z operetek.

— Zdaże mi się, że cię widziałem w teatrze? — powiedział, gdy wszedł. — W jakiej roli podobalem ci się najbardziej?

Wymieniłem jedną z ról. — Hm, w tej roli byłem — Bóg świadkiem! — nieszczęśliwy — odpowiedział. — No, rozbiierz się!

Opukał mi objętych i pley, osłuchał mnie.

— Westchnij no! — rzekł.

— Ach! — odpowiedziałem.

— Westchnij no! — powtórzył głośniej.

— Ach! — odpowiedziałem silniejszym głosem.

— No, tak, oczywiście. „Ach, westchnieł hrabina!” — przedrzętniał mnie, kierując słowa w głąb swego rubinowego nosa. — Zaczepnij głęboko powietrza, do katar!

Dopiero wtedy pojąłem, czym jest westchnienie.

Mimo że nasz majster był sprawiedliwy, jednak i on zatrudniał zbyt wielu uczniów. Gdy skończył termin, stałem się dla niego całkowicie niepotrzebny. Wyraził jednak chęć okazania mi pomocy, gdybym zdecydował się pójść do szkoły zawodowej w Kopenhadze.

— Tam uczą oprócz tego na książkach, a ty się książkami interesujesz — powiedział i spojrzął na mnie z pewną ironią przez okulary. On sam nie chciał nic słyszeć o książkach; uważał, że lektura jest źródłem niezręczności. Miałem wielką ochotę udać się do Kopenhagi, ale wszystko speliło na niczym z tego prostego powodu, że w tamtejszej szkole zawodowej nie było wspaniałych miejsc.

Gdy skończyłem termin, stałem się bezrobotny. Na całej wyspie nie było ani jednego warsztatu, który by potrzebował czeladnika. Nadszedła zima, a ta nie była właściwą porą roku, aby zaczynać coś nowego. W porcie stały okręty z opuszczonymi masztami. Nie można było zaciągnąć się na morze. Lnej pracy również nie zdołałem znaleźć. Nastąpiła marna pora roku. Morze wabiło mnie nadal. Zawsze wyobrażałem sobie, że tam oczekuje mnie coś dobrego, że tam wystarczy tylko sięgnąć ręką po szczęście. Bo każdy, kto szedł na morze, oddawał w jakiś sposób losowi. Wysoko w pewnym domu wynajęłem sobie poddasze, którego okno wychodziło na port.

Czasami wzywał mnie majster — wtedy gdy przez kilka dni było szczególnie dużo roboty. Poza tym przesiadywałem zazwyczaj w mojej izdebce i spędzałem czas na czytaniu. Te dwie czy trzy korony, których tygodniowo potrzebowałem na mieszkanie i coś niecoś jada, zarabiałem zwykle w ten sposób, że reperowałem buty tych kolewów, którzy mieli pracę. Zylem razem w chlebie i mlekiem. W specjalnie urządzonych chłwach gotowałem kawę na kafflowej kuchni. Na ulicy pokazywałem się jak najmniej. Zaczęto już ze względu na ten tryb życia krzywo na mnie patrzeć. Nie pracowałem, nie piłem, nie wchodziłem się z dziewczętami, przesiadywałem tylko w mojej mansardzie i czytałem — byłem koronnym leniem! To dano mi aieraz poznać.

Najczęściej były dla mnie puste miejsca po Bożym Narodzeniu. Jak gdyby cały świat wymarł. Moje zarobki zmniejszyły się do tego stopnia, że nie miałem już siły nawet na czytanie książek. Zasypiałem, gdy otworzyłm jakąś książkę i próbowałem przyswoić sobie jej treść. Najczęściej leżałem w łóżku, nasycałem wiecznym śpiem krwi i wpatrywałem się w pustkę.

Jerzy czmychnął był i zostawił majstra z pięknymi wierzycielkami na lodzie.

— O tyle samo orzwał mnie majster — powiedział beztrzęsio. Znalazł pracę w którymś mieście na północny wyspy w jakiejś wdowy. Miał kierować warsztatem i był już zaręczony z córką owej wdowy. Znowu świetnie się urządził.

Aż tu nagle wyłonił się u mnie. Zaręczony już były zerwane. Wyłano go z domu.

— Dlaczego?

— Począł się śmiać.

— To ty myślisz, że ja mam ochotę zostać niewolnikiem? Umizgałem się trochę do innych. To wszystko. A niewiasty lubią przecież robić sceny z zazdrości!

Moje łóżko pomieściło co prawda nas obydwu, ale ponadto nie miałem nic więcej, czym mogłbym się z nim podzielić — nic więcej oprócz mojego głodu. Toteż wkrótce powiedział mi do widzenia.

Zaczęłam się uczyć niemieckiego. Zdobylem kilka tanich zeszytów Reclama, noszących nader obiecujący tytuł: Schiller — „Wojna Trzydziestolecia”, ponadto jakąś książkę o Sokratesie i inne jeszcze dzieła — i zapragnęłam rozkoszować się w spokoju tym wszystkim. Jednakże ku memu zupełnemu osłupieniu zrozumieli byli dla mnie tylko niektóre słowa. Ciągłości myśli nie udawało mi się wydobyc.

Na pomoc przyszedł mi mój opór — nie chciałem dać za wygraną. Pobudka była mi również ambicją. Jerzy zajął do książek przesyłabizował kilka słów i oświadczył:

— Daj z tym spokój. To piekielna gmatwanina. Nigdy w życiu nie uporasz się z tym.

Ja jednakże nie ustąpiłem.

Wypisywałem sobie te słowa, których znaczenie rozumiałem, i uczyłem się ich na pamięć. Wynurzały się później z pamięci niby dobrzy, starzy znajomi, a częstokroć towarzyszyły im inne o znaczeniu wyjaśniającym się zwolna dzięki sąsiedztwu, w którym się znalazły. Nie miałem słownika, nie orientowałem się w ogóle, że taki środek pomocniczy istnieje. Mimo to stale wzrastała lista słów, które zdołałem odcyfrować, słowa łączyły się w całe zdania, aż nagle w jakimś momencie słów na danej stronie tu i ówdzie wdzierało się życie, krystalizował się sens, bił w oczy jak pestka, gdy wytryskuje z otwierającego się owocu. Ale były i takie strony, które pozostały dla mnie niezrozumiałe nawet wtedy, gdy byłem syty, a w kafflowym piecu palił się przywrotny ogień. Dopiero gdy wpadł mi do rąk zeszyt Reclama, zawierający „Correggio” Oehlschlägera, doznałem nareszcie zadośćuczynienia, że potrafię wydobyc ciągłości myśli. Ten umiał tak pisać po niemiecku, że go można było zrozumieć! Dostrzegłem się w tym dowodu jego poetycznej wielkości. Przez któregoś z kolegów dostalem z wypożyczalni jego duńskie dzieła. „Correggio” był mi nadal pomocny przy nauce języka niemieckiego. Pewnego dnia posunąłem się nawet tak daleko, że z wysiłkiem zdołałem pokonać w całości jedno z prostszych opowiadań. Z niemiecką Hoffmanna i Goethego nie mogłem jednak dać sobie rady.

Na wiosnę wszystko ożyło, dostawałem więc tu i ówdzie pracę, ale tylko krótkotrwałą. Przez pewien czas pracowałem w wędrownego szewca w północnych stronach Bomholmu. Z warsztatem szewskim, z narzędziami i kopytami na plecach ciągnęliśmy od wsi do wsi. Chłopi dawali własną skórę i materiały pomocnicze. Była to pozostałość z dawno minionych czasów, gdy wszyscy, którzy uprawiali jakieś lekkie rzemiosło, czapali od zagrody do zagrody, gdy tymczasem chłop z kołami, włókł do kuźni żelazo, stal i węgiel, jak opowiada stara i trafna pieśń. Mój majster był chyba ostatnim szewcem wędrownym w całym kraju. Praca nie była przyjemna, chłopci bowiem uważali szewstwo i krawiectwo za rzemiosła podłego gatunku, przeznaczone dla kalek. Stawiali przed nami marne jadlo. Uprząż, którą nam wypadało reperować, była zmurszała od końskiego potu, a łóżka, na których nam kazano sypiać, stały w takiej wilgoci, że kol-dry przyklejały się do ciała. Prócz tego pracę nie wynagradzano. Majster obliczał, że każdy z nas zarabia koronę dziennie. Ponieważ jednak on dostarczał narzędzi i on był źródłem „powagi” przedsiębiorstwa, mnie przypadły tylko cztery korony tygodniowo.

Przełotnie wracałem na swoje poddasze. Zachowywałem je sobie w rezerwie, chociaż z wielką trudnością przychodziło mi opłacać tygodniowy czynsz w wysokości siedemdziesięciu pięciu órów. Ta mała izdebka na strychu, wysoko ponad portem, stała się moim domem. Przeżyłem w niej tyle tak miłych godzin, że odczuwałem radość i ciepło w sercu, gdy powracałem do niej po jakimś długim wypadzie roboczym. Wśród tych krzywych, ubogich ścian dorosłem, stałem się świadomym człowiekiem. Przedtem panował we mnie chaos, jakaś mgła, w której nadziednymi siłami były nadzieja i tęsknota. Moja walka, którą na tym poddaszu stoczyłem z samotnością, ucząc się obcego języka, z głodem i z wieloma myślami, które jak szczyry wygrzywały sobie przejścia na powierzchni, poruszyła ciemną masę mgły. Powstała w niej treść, powstały tu i ówdzie ośrodki, wokół których zaczęła się gromadzić nabyta wiedza, biemie do tej porę zalegająca w moim umyśle. Wytworzyłem w sobie poglądy, przeważnie poglądy niewłaściwe, które wypadają mi wciąż od nowa przeksztalcać. Były to jednakże poglądy, do których doszedłem zupełnie sam i dlatego one obdarzyły mój umysł jego własną pełnią. Posiadałem teraz całe bogactwo, posiadałem własną treść. Osobliwych doznawałem uczuć w przekonaniu, że dzwgam w sobie samodzielną świat myśli.

Moje koleżki naśmiewali się ze mnie. „To myśliciel!” — mawiali szczydero. Ale ludzie, którzy czymś byli i sami zastanawiali się nad różnymi kwestiami, słuchali mnie z powagą, kiedy nieśmiało decydowałem się wypowiadać moje poglądy. Wydawało mi się nawet, że potrzebne było moje zdanie, gdy dyskutowano o jakiejś książce albo też o jakimś zagadnieniu.

Alę gdy w moim świecie wewnętrznym zwolna dojrzało twarde jądro, to wokół mnie wszystko było płynne. Powiniennem był porzucić rzemiosło wtedy, gdy umarł ów młody majster. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. A mimo to wlokłem się tak samo jak dawniej, z jedną nogą w rzemiosło, a z drugą gdzie indziej — stałem na trampolinie i rozważałem — byłem gotów do skoku, ale nie umiałem powziąć ostatecznej decyzji. Tym charakterystycznym było całe moje postępowanie. Byłem bezwolny byłem wagał, byłem walczył. Nie wiedziałem, co mam z sobą począć. Główną winę należy złożyć przede wszystkim na karb tych warunków pracy. Bo gdy otwierali się przede mną widoki na to, że nareszcie dostanę pracę stałą, to od razu burzyłem w sobie wszelkie racje tej na-

pozór korzystnej okazji. Niepokój przeszedł mi w krew. Przez pewien czas przebywałem w Nexø i pracowałem u zarządcy więzienia, który był jednocześnie szewcem i miał swój warsztat na strychu ratusza, akurat ponad celami więziennymi. W tym okresie dużo obcowalem z Jakubem, który obrócił moją niemczyznę i przyswoił mi zasady wymowy. Był to płodny czas. Jakub troszczył się o moje zdrowie i wyciągał mnie z sobą na powietrze. Przy dobrej pogodzie odbywałem dłuższe wycieczki, podczas których jednocześnie uczyłem się wiele. Zdumiewająca pamięć Jakuba zastępowała mi podręczniki. Kiedy indziej mówił wprost od siebie o zagadnieniach, które go właśnie zajmowały. Jeżeli z jakiegoś powodu rozgniewał na mnie, przerywał rozmowę, a zaczynał mnie pouczać. Wbił mi w pamięć różne rozstrzone zdania, posturuchując mnie przy tym po plecach.

Gdysy tak chodził i rozmawiał, zachwyciło się we mnie wiele pojęć, które w wyniku bezładnej lektury zakazywały mi umysł niby jakaś nieżywa masa. Moja świadomość była podobna do kosmosu, w którym powstawały coraz to nowe konstelacje. To były piękne czasy. Byłem naprawdę szczęśliwy. Pomimo to coś mnie dręczyło. Opanowała mnie tęsknota za Uniwersytem Ludowym i za tamtejszą młodzieżą. A więc znowu związałem swój węzełek. Matka nawiązała mi od ostatnich, gdy zebrał się bieliznę, chciałem się z nią pożegnać. Mówiła, że to nie jest przyzwyczajenie, tak ni stąd ni zowąd uciekać i opuszczać dobrą pracę. Odpowiedziałem jej na to, że Jerzy jeszcze częściej zmieniał miejsca pracy.

— No, tak, Jerzy! Ale ty nie jesteś Jerzym. On niech tam sobie robi, co chce!

W Rönne znalazłem natychmiast pracę u pewnego majstra, który obiecywał mi zatrudnienie na stałe, o ile w innych rzeczach dojdziemy z sobą do ładu. Była to znaczna osobistość, w której z wielu sekt tego miasta, apostoł, czy pasterz, czy też coś podobnego. W niedzielę wygłaszał kazania i ubrawszy się w czerwony sutanę uprawiał jakieś piasy przed ołtarzem. Zawsze podkreślał, że otrzymuje za to wynagrodzenie. Niebawem odkryłem, co znaczyło jego powiedzenie: „o ile w innych rzeczach dojdziemy z sobą do ładu”. Miałem wstąpić do sekty!

— Do nas przychodzi dużo ładnych dziewcząt — mawiał majster, aby mnie przekonać.

Albo: — Mówią, że lubujesz się w książkach. A przy tym panujesz nad słowem. Powinieneś przyjść do nas. Nie będziesz tego żałował!

Oburzały mnie jego argumenty, więc powiedziałem mu to wręcz.

— Zaprrawdę ty masz i słowo i wiarę w swej mocy! — odrzekł, patrząc na mnie z wyrazem życzliwego podziwu. — Wprawiasz mnie w zakłopotanie! Koniecznie musisz przyjść do nas!

Trochę zezwolił, co było powodem, że jego twarz przybierała wyraz niejakej dobrośliwości. I w gruncie rzeczy był chyba dobroniduszny.

— Ale ja jestem wolnomyślicielem!

— Odpardłem prawie zuchwale. — Za takiego mają mnie wszyscy.

— Ale oprócz tego masz, zaprawdę, wiarę w swojej mocy, a ponadto gniew, który umie wstrząsać duszami! Ja ci coś powiem — pochylił się ku mnie ponad warsztatem i zwierzył się szepem: — we mnie jest za mało gniewu! Dlatego wierni nie są zadowoleni! Ale ty masz gniew!

Nie powiem, żeby to nie brzmiało podówczas zachęcająco. Może tedy dałoby się przedrzeć do życia — w każdym razie pod jakimś tam względem — duchowego? Czy naprawdę wierzę, że jest to jakiś rodzaj działalności umysłowej, gdy się z towarzyszeniem organów wykonuje pewne rytmiczne ruchy przed ołtarzem, odwróciwszy się plecami do zabłąkanego duchowego tłumu, który w braku czegoś lepszego rozkoszuje się tak tanim wzruszeniem? Czy potrafimy przymusić się do wykonywania takich sztuczek — do występowania jako sprytny mówca, przybierający wyraz najwzruszszego zachwyty, gdy wydobyla z siebie mnóstwo bezsensownych słów?

Majster w każdym razie uważał, że potrafilibyśmy to doskonale. Nie żywił najmniejszej wątpliwości, że mógłbym uzyskać najwyższe stanowisko w jego sekcie — stanowisko „arcykapłana”.

— Uważaj tylko — mówił — żebyś nie zatracił zdolności do uciech życia. Nie interesuj się młodymi dziewczynami, nie śmiejesz się. Kto chce innym dawać dobry przykład, musi sam być rozmakowany w życiu. Musi znać się na puszczeniu dociwipów!

On sam znał się na tym! O ile nie potrafił wstrząsnąć zgromadzeniem wierznych słowami swego gniewu, to w każdym razie umiał przyswiecić wierznych do śmiechu.

Ja byłem dziwkami, niszczycielem uciech życia — sam to czulem... Chodziłem razem z majstrem na zebrania sekty, bynajmniej jednak nie powese-lałem z tego powodu. Zahamowało się coś we mnie. Opanowała mnie jakaś tęsknota, której powodów nie znalazłem. Niemniej jednak poddałem się jej zupełnie. Uznałem, że chociaż życie jest tak ciężkie, a świat tak żalony, to jednak moja obecna rola na nim jest nie do przyjęcia.

(Fragment z książki Martina Andersen Nexø pt. „Wspomnienia”, przekładu dokonano z wersji niemieckiej: M. A. Nexø — „Erinnerungen”, deutsch von Ernst Harthern, Dietz Verlag, Berlin 1948. Tytuł fragmentu pochodzi od tłumacza).

Martin Andersen Nexø przełożył Adolf Sowiński.

JAN BRZOZA

AGLOSTERHAUSEN

Moje rozmowy z dziećmi odbywają się codziennie o tej samej porze przedwieczornej, kiedy konczą one odrabianie lekcji i cały zakład wybuchają wrzawą. Wiem już, że zaraz odwidzą mnie dwa małe cyganiątka, które zawsze naradzają się pod drzwiami, a potem pukają i wchodzą... po cukierki. Są to bractwiczki 7—8-letni o czarnych kędzierzawych włosach i dużych czarnych oczach. Nigdy nie zadowalały się jednym cukierkiem, zawsze wymyślają historie o kolegach, którzy się „wstydzą” przyjść, więc oni im zaniósł... cukierki. Widząc, że nie dam się zbywać zaczynają prosić, bлагаć a przy tym w błaganiu te wkładają tyle szczerzego żaru, a nawet udają coś w rodzaju przejmującego jęku, że naprawdę trudno mi się oprzeć. Jestem jednak nieublagany, wobec tego zmieniają ton, wychodzą zapowiadając, że jutro, że przyjdą znowu jutro o tej samej porze. Żeby nie było żadnych wątpliwości. Po ich wyciszeniu przywołuję chłopca, lub dziewczynkę na pogawiedkę. Cały zakład już wie, że przyjechał taki pan, który pisze książki i co najważniejsze: który posiada cukierki. Przychodzą chętnie, siadają za stołem z dużą swobodą i starają się odpowiadać na pytania jak najlepiej. Starsze siłą się na powagę i rzeczowy ton, młodsze okazują dużą chęć przylgnięcia, tak charakterystyczną dla wszystkich sierot. Pytam o imię i nazwisko, wiek, kiedy i skąd przybyły, ale kiedy pytam o rodziców, głos mi się na pewno zalał. Choć wiem, że wtedy powinien być właśnie twardy. Dziewczynki polykają łzy, w spojrzeńach chłopców odczytuję jakby cień politowania. Dzieci przeżyły wiele, wróciły z Niemiec. Jakże niedawno zeszkolano z nich brud wędrowników i poniewierki, zagroły się strupy po owadach i blizny po uderzeniach. Dzieci ciągle wracają do kraju. Serki, tysiące, niektóre prawie dorosłe, niektóre nie umieją mówić po polsku, lub mówią charakterystycznym językiem „auslenderów”, z gardlowym wymawianiem liter r. Opowiadają, że jeszcze pozostało ich dużo bardzo dużo w Niemczech i że wiele już chyba nie wróci. — „Dlaczego?” — Zamiast odpowiedzi machnieją ręką.

Naprzeciw mnie siedzi za stołem dwunastoletnia dziewczynka i zajada cukierki. Długi, zimowy zmrok sprzyja zwierzieniom, pomaga dziecinnej pamięci, a może... rozbudza dziecinną fantazję, która gubi się w konturach burznych miast, dymach pożarów, wybuchach bomb i na pewno w morzu przelanych łez. Dziewczynka ma czarne oczy, które błyszcza lub gasną w miarę wycięcia pamięci. Co chwila odwraca głowę w stronę okna, zaczyna się i szuka za szybą pomocy. Wiem już, że kiedy odwróci twarz i spojrzy mi w oczy, będzie to znak, że sobie przypomniała. Najczęściej jednak nie odwraca głowy, patrzy w niebo i wspomina nawet o cukierku w ustach. Czy była w Aglosterhausen? — Była, ale już po wyzwoleniu przez Amerykanów. Ale czy była przedtem, w Niemczech? — Nie, nie była. Czy była tam wysokie góry, pokryte śniegiem? Czy było tam dużo dzieci? Czy były tylko polskie dzieci? — „Tak, były góry. Nie, nie było na nich śniegu. Było tam dużo dzieci, ale nie tylko polskie. Rosyjskie, serbskie i jeszcze jakieś, których nie można było zrozumieć...”

Usiłuję dotrzeć do tajemnicy zakładu w Aglosterhausen. Nazwa ta bowiem powtarza się często w opowiadaniach dzieci. Nie znam właściwego jej brzmienia, gdyż dzieci zawsze inaczej ją wymawiają, nie wiem gdzie, w jakiej stronie Niemiec się znajduje, a tymczasem wysłuchuję opowiadań dzieci o ich przeżyciach w różnych stronach Niemiec. Jeden z chłopów opisał mi maszynę do bicia. Jest on bez nogi, stracił ją podczas wkraczania Niemców do Wielunia. Pianny żołnierz niemiecki przejechał go na ulicy, porwał na wóz i zawiózł do Wrocławia, gdzie dziecku nogę ucięto. Potem chłopiec był w Ambergu, potem w jakimś obozie wraz z dorosłymi. Nazwy obozu nie pamięta i wie tylko, że były druty kolczaste, kubek czarnej kawy i pół kromki chleba. O Ambergu pamięta więcej, że były tam dzieci różnych narodowości i że uczyli tam wszystkich po niemiecku, niemieckich pieśni marszowych i że tam znajdowała się maszyna do bicia. Rozbiorem chłopca do naga i wsuwano w leżącą pozycję plecami do góry. Ręce, nogi i głowa były uchwycone w klamry, a na pley i uda spadał nieprzerwany grad uderzeń cienkich rzemiemi, umocowanych na dwu walcach. — „Najgorzej, że nie było można się ruszać i tak jakby ognisty deszcz!” — mówi chłopak. Pytam za co bili? — „Za co bądź, bo ta maszyna była wynalazkiem i zawsze przyjeżdżał ją jakiś panowie w okularach, aby patrzeć jak to bie”. — „To ciebie ikalekę bez nogi także bili?” — „Było tam więcej takich kalek i mieli nas wywieźć do pieca”. — Chłopak mówi rzeczowo i słowo „do pieca” wymawia tak, jakby mówił o najwykleszej rzeczy. Oprócz tej maszyny nie więcej nie pamięta. Tylko kubki czarnej kawy i murzynskich lotników, którzy zniżyli się tuż nad obozem, machali rękami i strzelali do niemieckich strażników.

Najczęściej jest pytać o rodziców. Wiele dzieci nie pamięta ich wcale. Rodzice znikali z ich oczu w sposób dzwiny i nieodgadniony, umierali zwyczajnie, lub byli zabici. „Matka wyszła do sklepu i już nie wróciła, ojciec

poszedł do polskiego wojska”. „Matkę i ojca zabiła bomba podczas obrony Warszawy, a ja byłem w przedszkolu, to jak Niemcy przyszli, to zabrali wszystkie dzieci z przedszkola”. „Ja spod Tarnopola, ojca i matkę zabili banderowcy, ja byłem ranny kulą w usta i bagnetem w brzuch”. Tu chłopak pokazuje bliźnię na policzku. „Zabrali nas Niemcy z wulkim do rajchu. Wujek pracował w fabryce samolotów w Urach, ale potem jak zaczęli bombardować, to się ludzie rozbiegli, to wujek gdzieś przepadł a ja zostałem sam”. „Ja z Bydgoszczy, nas wszystkie dzieci zabierali z domów, ze szkół, ladowali na auta i wywieźli do Niemiec. Mnie zabrali ze szkoły”. Co się stało z rodzicami? „Nie wiem...” Po takiej odpowiedzi zapada przykra cisza, rozmowa się nie klei i wiem, że na dziś mamy dość. Nic już nie wydobędę z dziecka, zresztą nie mam siły, by zadawać pytania. Ponure wspomnienia macą tok rozmowy. Najlepiej jest wtedy wypchnąć dziecko na korytarz, gdzie wesola wrzawa pozwoli mu natychmiast zapomnieć. Cale to szczęście, że w tym wieku można zapominać, choć bywają dzieci, które są smutne. Oto Basia Szeliga ze Lwowa. Basia ma 15 lat i mimo, że jest stale uśmiechnięta, nie jest bynajmniej wesola. Jej uśmiech jest jakby przyklejony i na pewno był tarczą w tamtych ciężkich czasach. Bola ją oczy, lecz ją lekarz a higienistka zakładowa zapuszcza jej oczy kropkami, smaruje na noc maścią. Basia nosi głowę opuszczoną w dół i przypomina wędzący kwiat. Ta duża dziewczyna nie nie pamięta, że się uczy nie pamięta ulicy, przy której mieszkała z rodzicami, nie pamięta nazw miejscowości, w których przebywała. Wie tylko, że ojciec był szewcem i że wywieźli ich do Niemiec. W Niemczech na jakiejś stacji rozłączyli ją z rodzicami przemocą, a co się z nimi stało, nie wie. Była u bauera na wsi, nazwy jej nie pamięta. Pilnowała kur, gęsi, pomagała w kuchni. Od czasu do czasu bauer bił ją kijem lub ręką. Spała na stryżku, nie jadła przy stole, ale w kacie. Niemcy jedli chleb z masłem, mięso, popijali piwo, ale ona jadła chleb postny i resztki ze stołu. Nie nauczyła się nigdy po niemiecku i za to była też bita. Nie rozumiała niemieckich rozkazów.

Dzieci pracowały nieraz ciężko, ponad siły. Opowiadają o pokrwawionych rękach, o dzwiganiu ciężarów. Zosia Dorabińska ma teraz 15 lat, a kiedy miała 11 już pracowała jak dorosły robotnik. Zabrali ją wraz z młodszą siostrą i ojcem ze Staroszewa koło Łęczycy. Byli w Darmstadtzie, gdzie ojciec pracował w fabryce specyfików lekarskich. Ojca zapewne otruli, gdyż zachorował i okazał się niezdolny do pracy. Poszła na jego miejsce. Zosia starała się opisać mi swoją pracę przy butlach, ale gdy zaczęła mówić o pokrwawionych rękach, przerałem jej. Zanosilo się bowiem na wielki plac. Opowiedziała jeszcze o bombardowaniu. Najlepiej schrony głęboko pod ziemią mieli Niemcy, auslenderzy chronili się, gdzie popadło, a dla ich rodzin był zwyczajny barak, zdany na łaskę i niełaskę losu. Podzielił bombardowaniu tego baraku i długo po bombardowaniu nie wypuszczali, zamykając wodę i światło. Potem, kiedy zbliżał się koniec, wypędzili wszystkich na stację kolejową i zagrozili, że będą strzelać do tych, którzy ośmielią się wsiść poza stację. Kiedy nadciąłi bombowce wszyscy uciekli do lasu i tam przeczekali do nadejścia Amerykanów.

Motyw bombardowania przewija się najczęściej w ich opowiadaniach. „Lezałem na noszach w szpitalu i bardzo krzyczałem, bo ściana się waliła, a nikt nie przychodził”. „Gdzie to było?” — „W Hamburgu. Matkę bomba zabiła po przedniego dnia a mnie zraniła, to mnie zabrali na nosze i uciekli a szpital się walił”. Nie ma statystyki, ale z opowiadań dzieci wynika, że od bombardowania zginęło najwięcej auslenderów. Niemcy tak się urządzali, że w najbardziej niebezpieczne miejsca pchali cudzoziemców i tu leży wyjaśnienie, dlaczego porwali tyle ludzi z Europy do Niemiec. „Ja byłem w Düsseldorfie i po każdym bombardowaniu przyjeżdżał nowy transport auslenderów...” „Jak zaczęli bombardować — mówi inny chłopak — to wszyscy ludzie uciekli do lasu i ja uciekłem do lasu z młodszym bratem i tam się gdzieś zgubił. Nie wiem, co się z nim stało...” Mała dziewczynka opowiada, jak to Niemcy pochowali się w rowach i strzelali do uciekających z bombardowanej fabryki. „Ludzie lecieli na te kule, bo tam było gorzej, bo paliło się wszystko, nawet kamień, a moja mama już nie uciekła i spaliła się...” Uderza jeszcze jeden szczegół. Dzieci są wszystkie pochodzenia chłopkiego, robotniczego, rzadziej rzemieślniczego, a już nigdy ze sfer zamoznych. Oto w kogo uderza wojna i kto najbardziej odczuwa jej ciężar na sobie. Mały Połpiech Eugeniusz jest synem górnika z Bytomia, który zginął w Sachsenhausen. Ojciec Pabiana Edwarda był marszynista w Pradniku pod Krakowem i zginął w Oświęcimiu. Słobowski Jan miał ojca szwaciarza hotelowego w Bydgoszczy. Nie chciał on podpisać volklisty i zniknął pewnego dnia bez śladu. Lucyna Cabania była córką stolarza spod Raciborza. Był on polskim żołnierzem i zginął pod Lenino. Ojciec, Fodczukowy Marysi był górnikiem z Kielecczyny i jako polski żołnierz

dostał się do niewoli niemieckiej. Z niewoli tej uciekł i wrócił do domu. Za „karę” Niemcy wywieźli całą rodzinę do Ruhry, gdzie ojciec musiał pracować w kopalni. Nie chcieli go uznać chorym tak długo, aż upadł podczas pracy, aby w baraku umrzeć. Cała rodzina wróciła niedawno z Münsteru. Matkę, umierającą na gruźlicę, zostawili we Wrocławiu. Powtarzają się nazwy miast Aachen, Borsleben, Düsseldorf, Hamburg, Kiel, Bremen, Bochum, najbardziej bombardowanych miast. Dzieci opowiadają o swoich wędrownkach po Niemczech. „Niemcy zabrali mnie od rodziców. To było na takiej dużej stacji kolejowej. Uciekłem do tego pociągu, w którym byli rodzice, ale pociąg już nie było. To ja poszedłem do lasu. Szedłem tak w trzy dni, czasem, zachodziłem do lasu, ale mnie wypędzali, nie dawali mi zjeść i byłem bardzo głodny. Dopiero jedna Rosianka wzięła mnie do siebie i tam byłem może rok, aż przyszli polscy żołnierze. Ona musiała mnie z początku chować na strychu, bo sama służyła u bauera. Potem się wykręło i była straszna awantura, ale ona się nie dała i bauer się zgodził, ale nie chciał dać jej. Dziewciła się z mną swoim jedzeniem... Były jakieś duże obozy, zapelnione samymi dziećmi. W długich barakach przyce umieszczone jedne nad drugimi, a na nich setki, może tysiące dzieci, naokoło druty kolczaste i czarno umundurowani banderowcy. Gdzie to było, w jakiej miejscowości, trudno wydobyc z dziecinnych główek. Z tego, co zdołałem wydobyc, wynika, że były tam dzieci polskie, francuskie, lotewskie, serbskie, rosyjskie, cygańskie, żydowskie, że nie nie robiły pożytecznego, zamiatały podłogi, myły okna, nie było żadnej szkoły, były wyspy, płaskowy, choroby i głód. Dzieci te, dziś dwunasto-piętnastoletnie chodzą do pierwszej klasy. Uczą się czytać.

Myślę jednak, że najsroższe są dzieje tych dzieci, którzy mówią że po polsku, lub wcale nie znają polskiego. Były w niemieckich zakładach, należały do Hitlerjugend, maszkowały w takt niemieckich piosenek. Jak opowiada Stach Panicz z Gieszyna, z początku było źle i wychowawca Niemiec był bykocwem, kopał w brzuch i co najgorsze: zamykał do ciemnicy bez jedzenia i picia. Tak było w zakładzie w Bishofstalu, ale to jeszcze nie w porównaniu z zakładem w Aglosterhausen. Tam już dzieci zapomniały rodzinnego języka i takie jakimiś dzwinnymi słowami zmieniano je na Niemców. Wybie-rano tylko rosyjskich chłopców w wieku 16—17 lat, którzy z kolei szli do jakiejś szkoły lotniczej koło Wiednia, a o niektórych były wiadomości, że latają już na wschodnim froncie

Stos zapisanych kartek rośnie a jednak nic nie zbliża mnie do tajemnicy zakładu w Aglosterhausen. Coż miennie czekał wieczor w nadziei, że może dziś dowiem się. Może ktoś z dzieci wie coś więcej od innych. Oto zaraz skończyła się lekcja domowej i na korytarzu wybuchła wrzawa. Przyjda dwa małe cyganiątka po cukierki. W oboz-dzie przedzieje na jednej nodze Edek kaleka. Przewidzie dziś najstarszy chłopak w zakładzie i opowie mi swoje dzieje trampa, który przewędrował pół Europy. Może on?... Może ta dziewczynka z Zamojszczyzny, która opowie mi, jak to całe pociągi towarowe ladowano dziećmi, a na stacjach kobiety leciały kupować dzieci od strażników. Może ten chłopiec, z którym bede musiał rozmawiać po niemiecku? Nutrują mnie męczące pytania, ile jeszcze dzieci polskich pozostało w Niemczech? Ile ich przepadło dla Polski. Gdzie jest Aglosterhausen?

Jan Brzoza

W poprzednim 27 (240) numerze „Odrodzenia”: Leon Kruczkowski. Na puszkiniowskim szlaku. — Aleksander Puszkין (przełożył Julian Tuwim); Eugeniusz Oniegin. — Arkady Fiedler; Meksyk widzi swój wielki cel. — Zofia Dąbkowska; Jeszcze o robotniczym pamiętniku. — Howard Fast (przełożył Jerzy Działak); Ludek z gór. — List do redakcji; Stanisław Jasiński; Gdzie jest „Pochód” Wacława Szymanowskiego. — Jerzy Brzostkiewicz; Kształt miłości. — Teatr: Bogdan Butryczuk; „Na dnie” u Leona Schillera; Juliusz Kydryński; Dzieje i premiera pieprzu; Artur Maria Swinarski; Dem złych kobiet. — Mimochoodem: W. N.: O jedno male „Arey”. — Witold Rudziński; Monografia o Mieczysławie Karłowiczu. — Kronika Radziecka. — Tydzień bibliograficzny. — Film: K. Wołkiewicz; Trochę o filmie Dalekiego Wschodu; Barbara Olszewska; Problem dziecka; Jerzy Płazewski; Pod ręką z poezją codzienności. — Camera obscura. — 27 ilustracji 8 stron.

(*) Adam Gottlob Oehlschläger (1779—1850) — narodowy poeta duński.

JFRZY BROSZKIEWICZ

KSZTAŁT MIŁOŚCI

rysunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

Cóż wiesz o piek-
nem? Kształtem jest
miłość
Cyprian K. Norwid
(„Promethidion”)



Kim będzie Fryderyk? — Ustaly ja-
kosz rozmowy na tak ciekawy temat. Pan
Mikołaj wprawdzie nadal planował sobie
administracyjno-prawne kariery Fryde-
ryka, tuż pod bokiem jednak wyrastała
opozycja.

Jawnie rządził nią Żywny. Tak! Żywny!
Potulny poczciwina nie miał w zwy-
czaju sprzeciwiać się komukolwiek —
tym bardziej ludziom tak wysokiej pozyc-
ji jak, choć przyjacieli, to jednak za-
służony profesor, Mikołaj Cho-
pin. I oto już w pół roku po rozpoczę-
ciu nauki z Frydkiem przy biele okazji
zaczął oświadczać się z takim punktem
widzenia: z Frycka trzeba zrobić muzy-
ka, pianiste, komponistę! Nie ulak się
nawet jawnej niechęci pana Mikołaja.
Gadał o Frycku nie inaczej, jak per-
„cudowny Wunder” nie ustępował ani
na krok.

Tak to zaczęła się wojna i cicha zmo-
wa przeciw ojcowskim marzeniom na te-
ma jedynego syna.

Do cichej znowy pierwszy przystąpił
sam Frycek. Prawa głosu mieć, rzecz
prosta, nie mógł. Ale do muzyki przy-
giął się, jak kleszcz. Patrząc zaś na sy-
nowską pasję, nie licującą ani z wie-
kiem, ani ze zwykłym dziecięcym leni-
wstwem, ani z dziecięcymi ochotami na
śmiec i zabawę, sama pani Justyna ci-
chaczem przystąpiła do frakcji maestra.

Maestro Żywny laził dawniej, jak
wtedy, po lekcjach z nudą w oczach.
Drzemiał. Drzemając monitorował ołówkiem
po palcach lub głowie co tęższych leni-
wów. Jedynie, co go z owych drzemek
nad egzercyzjami uczniów budziło, to
chwile przeliczania lekcyjnych honorar-
iów. I oto teraz sam skupował nuty —
choć przecie bolał go każdy grosz. Nie
zależał czasu, ohoty, radości. Umówio-
no się, że po miesiącu Fryckowe półgo-
dziny rozrosną się w godzinę — lekcje
miast odbywać się dwa razy w tygodniu
nierazko poczęły zdarzać się dzień po
dniu — maestrowi ani się śniło drzemać.
Obaj ślęcząc nad Haydnem, Mozartem
czy Bachem dostawali wtypek: ledwo
oblatujący oktawę anelak i trzęsący
głową, bezbębny starzec. I choć działo
się to wszystko wiosną roku 1817 — w
którym pan Mikołaj jeszcze bardzo am-
bitnie i ufnie myślał o przyszłości Euro-
pejskiej Królestwa i jedynego syna — to
jednak owa druga młodość maestra
Żywnego nie mogła ująć jego uwagi.

Przed wszystkim zaś niczyjej uwa-
gi nie mógł ująć ostateczny wybuch
wielkiej miłości Frycka do muzyki.

Dzieci przeżywają wielkie miłości
zawsze — odczytasz w nich pasję, od-
danie, wzruszenie — wszystkie cechy,
które zazwyczaj gwarantujemy dla
użytku dojrziałych serc. Miłość Frycka
jednak coraz wyraźniej poczęła odbie-
rać od modelu dziecięcych miłości. Do
dziecięcej pasji, oddania i wzruszenia
doszła dojrzała pracowitość. I to co
namierni dojrzała koncentracja (a tak!
wewnętrzna). I najszczerza wierność.

Wykładając w klasach Liceum w Pa-
lacu Saskim pan Mikołaj stawał przy
oknie — od strony oficyn szedł daleki
pogłos fortepianowej muzyki: to Frycek.
Potem nastąpiły przenosiny z Palacu
Saskiego do Kazimirowskiego przy Kra-
kowskim Przedmieściu. Cesarzewicz ka-
zał się instytucji licealnej i familion
profesorów wynosić na Krakowskie
Przedmieście. Ogród Saski i Pałac szedł
na użytek wojska. Po raz pierwszy
z ust pana Mikołaja padły nieprzychy-
lne słowa pod adresem jednego
z najjaśniejszych Pawłowiczów Roma-
nowych.

Balaganu, kłopotów, wydatków w
związku z przeprowadzką narobiło się
sporo. Pani Justyna była jednak wzo-
rem organizatora domowych spraw —
na pierwszym piętrem oficyn Kazim-
rowskiego Palacu, u Lindów, Kolber-
gów i Brodzkich, przesuwano jesz-
cze meble, trzepano dywany, rozpako-
wano ostatnie paczki, gdy na dru-
gim u Chopinów wszystko szło już nor-
malnym trybem.

„Wszystko” oznacza także i to, że
gdy pan Mikołaj przetrwawszy na chwi-
le wykład stanął w jednym z okien
Kazimirowskiego Palacu, znowu słyszał
od strony oficyn daleki pobrzęk forte-
pianowych strun.

Był to szczęśliwy czas owe wiosny,
lata, jesienią i zimy 1817 i 1818 roku.
Co tydzień odkrywał się nowy urok
świata. W oczach poczciwego Żywnego
plonęły obok ogni wielkiego zdumienia
także ogni drugiej młodości i nowego
entuzjazmu. Mały Frycek pędził w świat
muzyki bez opamiętania i odoczynku.
Co tydzień odkrywało się nowe archi-
pelagi — szybko zostały zapomniane
pierwsze inwencje, menuety i sarabandy,
dł, zaś kolo małych preludjów, fug,
latwiutkich sonatinek i egzercycji palce
Frycka tylko mignęły. Na wiosnę zaś
18-go roku dokonano się wiecnie w świat
muzyki już najwyższych rang — przy-
szła pora na Sonaty Josepha Haydna
i wspaniałego Amadeusza Wolfganga —
wreszcie na „Wohltemeriertes Klavier”
Jana Sebastiana Bacha nie poznano
jeszcze wówczas w Europie naprawdę.
Malo kto go znał i wyznawał. Nato-
miast gwiazda Amadeusza Wolfganga
Mozarta nie zbladła ani na moment.
Frycka jednak nie obchodzili muzyczne
mody ani obyczaje. Calkowicie od nich

niezależnie ci dwaj zdobyli z miejsca
godność pierwszych monarchów w kraju
jego wielkiej miłości.

Nie mogły tu zresztą zdarzyć się
żadne omyłki. Z upływem czasu i upły-
wem taktów wymowność muzyki ustala
się coraz dokładniej. Nie spotyka się
w niej żadnych znaków zapytania —
na tej mapie nie ma białych glam. Dla
byle kogo — dla byle Skrodzkiego czy
Marylskiego — dźwięki są tylko jasne
i ciemne, wysokie i niskie, cienkie
i grube. To jeszcze nic nie oznacza.
Muzyka jest czymś tak rzeczywistym
i żywym, jak człowiek, jak jego
myśl, gest i słowa. Frycek wie już, że
jest wjaźniejszym w prawdy zbyt czę-
sto zakryte przed uszami innych ludzi.
Nie obchodzi go to jednak — naj-
ważniejszą sprawą to coraz szczęśli-
wsze i bardziej zdobywcze odkrywaniu
gestów, myśli i słów Bacha, Mozarta,
Haydna, Beethovena, Hummła...

Bach jest uosobieniem powagi i mą-
drości. Wypowiada ją wielu na raz
głosami. Każdy z nich wyraża myśl
wspólną wszystkim, każdy jednak na-
daie jej nowy wygląd i nową wagę. Wie
się, że do takiej mądrości nie już do-
dać nie można. Zdarza się, że Jan Se-
bastian opowiada o sprawach niezwykle
doniosłych, bardzo wielkich, tak wiel-
kich, że dopiero wobec nich mknie
wszelka wesoła płochość dzieciństwa.
Opowiada także o sprawach smutnych
— nigdy jednak za smutnych — i o spr-
wach wesołych — nigdy jednak zbyt
wesołych. Jest po prostu mądry i spo-
koiny. Trudno sobie wyobrazić więk-
szą mądrość. Nawet w drobnych, niby
dla żartu rzucanych uwagach, rozpo-
znaje się ją bez trudu.

Wolfgang Amadeusz łatwiej się
wzrusza, łatwiej poddaje głębokim smu-
tkom i wybucha wielkim śmiechem. Lubi
się stroić i wdzięczkę. Mądrość kwitnie
także w jego muzyce. Właśnie: nie
tyle jest ile kwitnie. Czasami
pan Mozart wybucha rozpaczą w spo-
sób tak groźny, że trudno obronić się
przed zlymi snami. Innym znów razem
stroi żarty z siebie, z muzyki i świata.
Wolfgang Amadeusz nie składa się
z żywych myśli, lecz z żywych wzru-
szeń. Grający go, czuje się puskami
palców puls krwi, bystrość bijącego ser-
ca, zwinne, groźne lub tanczące gesty.
Najpiękniej jednak rozmawia się z nim,
gdy mówi o bardzo szczęśliwym, spo-
koinym i wesołym zarazem życiu.

loni już nie waży tak wiele. Pan
Beethoven na przykład zbyt często wy-
bucha krzykiem i gniewem. Każde bić
w fortepian pięściami — jego rozpacz
trudno pojąć, tak bywa zła i niespra-
wiedliwa. Mili za to są elegancki pan
Hummel i czuły pan Field. Z tymi dwo-
ma muzykowanie zamienia się w śmie-
chy, trochę gadulskie wesołości albo
smutki, wcale znowu nie za bardzo
smutne.

Wiemy jednak — wiemy dobrze —
iż nie ma miłości bez tęsknoty i cier-
pienia. Frycek zaszywa się w pustę ką-
ty, nie umie zasypiać, budzi się po no-
cach. Nie budzą go złe sny. Ciemność
zawsze była przyjazna i wymowna.
Smutki Frycka — owe, jak je w my-
ślach nazywa pani Justyna, dziwactwa
— ucieczki w samotność, krycia się po
kątach i wygadania oknem powoduje
tylko jedno: myśl o muzyce i nowa tę-
sknota za nią.

Żywny zastawczy Frycka przy kła-
wikordzie z ołówkiem i skrawkiem nu-
rowego papieru w malej dloni poczer-
wieniał z alternacji i dumy. Zwołał na
świadców swego entuzjazmu panią Ju-
stynę, pana Mikołaja, nawet gubernera,
pensionariuszy pana Barońskiego. Pan
Mikołaj nie potrafił speşyć maestra
suchą dość uwagą, że Frycek prze-
męcza się muzykowaniem nieco ponad do-
puszczalne miary. Wznowił w rę-
kę swój słynny ołówek i wielką czystą
kartę papieru, sam poczał spisywać Fry-
ckowe próby samodzielnej podróży do kra-
ju Bacha i Mozarta.

Pierwszą taką próbę spisało się
jesienią 1817 roku i potem posypały się
jak z worka. Żywny chodził dumny
niczym bażant. W miasto, nosił coraz
bardziej zdumiewające wieści.
Frycek jednak nie puszył się. To, co
spisywał Żywny, cieszyło go i bawiło
dzień lub dwa. Potem zabierał się do
poprawek. Siadał nad kaligraficznie spi-
sanym polonezem czy walcem i grył
ołówek. Smutniał, kreślił, odmierzał,
dopisywał — dopisywał, przerabiał,
kreślił. Często papier zamazywał się
od nagłych, nie wiadomo dlaczego wy-
buchających łez. Z owego siedzenia zo-
stawały tylko smutki i do niemożliwo-
ści pokroślenie smutantyczne zapisy pana
Wojciecha. Maestro w końcu zabrał
samotnych korekt — sam pilnował czy-
telności rękopisu. Wtedy dla odmiany
Frycek zaczął się w ponurym milcze-
niu — w cichej złości lub obrzecie. Nie
wiadomo było o co chodzi. Przecież
z reguły przegrzywając swe polonezy,
galopady wariacje i walczki maestro
wi do zapisu, aż dygotał z radości.

To proste. Dlaczego maestro Żywny
nie może pojąć sprawy? Owym kre-
śleniem Frycek chce poprawić to, co
w pierwszej chwili bawiąc i ciesząc go
dwu, czy trzech dniach już tylko mar-
wi. Czuję wtedy w sobie czczość i nie-

potkój — to nie tak, to niepotrzebne,
same gadulstwa, stukania po klawiatu-
rze, śmieszne rzeczy.

Po dwu czy trzech dniach Frycek
wie, że znowu niczego nie umiał po-
wiedzieć. Walczki — ten, który się
spisało kilka dni temu, a który niby
tyle halasu narobił — szczere głup-
stwo. Rozlażi się w sercu i w palcach.
Bardzo ciężka jest walka o to, co chcia-
łoby się powiedzieć. Tym cięższa, że
jeszcze nie całkiem wiadomo, dlaczego
i co chce się powiedzieć. Jedno tylko
wiadomo: nie ma miłości bez cierpień
i tęsknot.

Szczęściem znalazło się jedno lekar-
stwo na ucieczkę od wszystkich takich
smutków: egzercycje. Ma właściwie ra-
cję pan Mikołaj, gdy twierdzi, że Fry-
cek przemęcza się muzykowaniem po-
nad dopuszczalne miary — chuchro
przecież, delikatne, z niebieskimi żył-
kami na skroniach i ledwo-rumiemcem.
Toteż nie rzadko trzeba Fryckowi na-
kazywać zaprzestanie pracy. Pasaże,
tercje, akordy — i znowu pasaże, pa-
saże, gamy. Rankiem, w południe, pod
wieczór.

Żywny przyglądając się tak praco-
witym dowodom miłości coraz odważ-
niej stawia swą tezę o przyszłości

przy ulicy Miodowej, ukazał się „Po-
lonais pour pianoforte, dediee a son
Exelence M-me la Comtesse Victoire
Skarbek par Friderik Chopin age de
8 ans” — w miesiąc zaś po Polone-
zie „Marche militaire”. Do upowszech-
nienia sztychem przyczynił się — jak
mówiono — Fryderyk Skarbek. Nikt
jednak nie chciał wierzyć, że część tej
imprezy sfinansował... Żywny! Dusigrosz
Żywny!

Grudzień i styczeń stały się w ten
sposób miesiącami, które zrodziły sławę
Frycka. Sława? — może trochę za
dużo powiedziane. Moda. I jak to mo-
da, od razu szeroka falą zalała całą
stolicę — „malego Mozarta” każdy
chce gościć, słyszeć, podziwiać, czę-
stować cukrami, konfiturami, czulo-
ściami.

Wielce ceniony „Pamiętnik War-
szawski” w swych wiadomościach lite-
rackich pisze jak następuje:

„Lubo kompozytorów muzyki nie li-
czymy do pisarzy literackich (niemniej
jednak są i ci autorami), przemilczęc
jednakże przed publicznością nie mo-
żemy kompozycyji następującej, przez
przyjacielskie ręce sztychem upowszech-
nionej: Polonaise pour pianoforte dediee
a son Exelence M-me la Comtesse



liła łaskawie. A nawet samo „mon-
strum”, Konstancy Pawłowicz chętnie
słucha — mówiono — improwizacji
młodzieńca 9 lat liczącego. Największa
zaś całej kuli ziemskiej spiewaczka An-
gelica Catalani, odwiedzwszy z kon-
certami Warszawę i posłyszawszy „ma-
łego Mozarta” w dowód swego zachwy-
tu obdarowała go misternym, złotym
repetierem.

Wyliczone tu fakty wystarczyły, by
zapewnić blask nowej gwiazdzie — pan
Mikołaj patrzył na to wszystko oczami
coraz bardziej zdumionymi. Oto jego
syn już teraz stąpa po posadzkach sa-
lonów, o których on marzył tylko mo-
że. Pod bramę oficyn Kazimirowskiego
Palacu zajeżdża ks. Czwertynska,
genierał Kuruta hr. de Mariolles, ba-
ronowa Mohrenheim — z prośbami
(odmówcie takiej prośbie!) o Frycka.
Łaska Boska i łaska pańska — tak.

Ale z drugiej strony wiadomo: laski
i mody na pstrym koniu jeżdżą. Mały
geniusz znużył się po trzech czy czte-
rech latach i potem co? Belferski, gorz-
ki chleb Żywnego lub co najwyżej rek-
torstwo Konserwatorium. Bo choć teraz
już wiadomo, że zbyt wysoko mierzył
nie należy, to jednak zawód fortepian-
nisty (nawet tej miary co Wirfel) nie
mógłby uradować serca profesora Cho-
pin.

Oto powód, dla którego ani drugi,
ani trzeci rok triumfów Frycka nie
zmienił poglądów pana Mikołaja na
sprawę przyszłości jedynego syna. Ar-
tystów się na salony nie prosi; po-
syla się po nich. Nic dziwnego, że
w chwili zlego humoru na zachwyty
i strategiczne chwytły maestra Żywnego
pan Mikołaj ofuknął go dość ostro
w tym mniej więcej sensie: „tamci”
zrobili sobie z malca chłopca na po-
syłki — tyle, że zamiast nosić paczki,
nosi z sobą swój talent i muzykę.
A dalej: że akurat tak samo zachwycić
ich potrafił tresowany pudel, kuglarz,
czy francuska baletniczka.

Żywny nie pojął o czym mowa.

Pierwszy rok zaszczytów był nudny
— drugi ciekawy. Trzeci już zaczął
złościć. Korzyści takie: kilka razy po-
spuły słodyczami żołądek; brak czasu
na ćwiczenie i obmyślanie nowych kom-
pozycji, bóle głowy, dwie awantury
(jedna z antypatycznym Borysem Cze-
wertynskim, druga z Albertem Potoc-
kim — dracymi nosa rówieśnikami),
zmęczenia, kaszle i bezsenność.

Badź sprawiedliwy: przypomnieć so-
bie można także sprawy co najmniej
mile. A więc zachwyty, czulości, kom-
plementy. Ktoż by zresztą nie zazdro-
ścił jędzy wieloksiążką czwórka, to-
warzystwa malej Mariolki (córki Kon-
stantowego szambelana) czy oklasków,
które najmniej trzy razy w tygodniu
rozbrzmiewały w najgłośniejszych sa-
lonach stolicy? — Chopinek gra, Chopi-
nek improwizuje! Za przykładem naj-
większej kabotyńki warszawskich sala-
now księżnej Luizy, wszystkie panie
słuchając Chopinka kryły twarz w dło-
niach. Oczywiście, nikt się nie zasta-
nawiał, ile szczeroci w tych gestach.
Tak samo, jak nikt się nie zastanawiał
nad sprawami samego Frycka — co
czuje jadać po raz pięćdziesiąty na sa-
lony pięknej Luizy Czwertynskiej —
a co ważniejsza: ile prawdy w jego im-
prowizacjach, popisach i ukłonach. Na-
leżało się nad tym zastanowić — ktoś
powinien był wypytac, porozmawiać
ważnie i przyjaźnie. Nie wiedzielo się,
że pierwszy rok był piekielnie nudny.
Drugi — to zauważono — był miły.
Ale ponieważ uznano, że malcowi się
w owym drugim wszystkim bardzo spo-
dobalo, nikt nie wyprorokował bomby,
która wybuchnie pod koniec trzeciego
roku. Gromadzili się wprawdzie chmu-
ry — widzielo się, że Frycek ma skry-
te, jak to on żale i kłopoty. Nikt ich
jednak nie docenił, ani nie rozpoznał.

Dziś już maestro Żywny nie musi
wysłuchiwać, odnotowywać czy popra-
wiać każdego nowego pomysłu. Frycek
pisze sam — sam się trudzi i biedzi
nad klawiaturą. Pisanie jest coraz waż-
niejszym, coraz bliższym sercu praco-
witym smutkiem. I oto te właśnie go-
dziny wykradają mu zajeżdżający pod
oficynę dostojni „przyjaciele” malego
Mozarta!

Nie ma mowy, by mogli mu wykra-
dać godziny lekcji z ojcem czy z gu-
wnerem Barcińskim — nie może to
być też czas odrabiania owych lekcji.
A zatem traci się jeden, drugi i dzie-
siąty własny wieczór — po każdym
z wieczorów ranek jest pusty i jałowy,
zmęczenie klei powieki do snu. A jeśli
nawet uda się znaleźć dwie czy trzy
godziny dla fortepianu, to i tak —
z pisania nic! Ochoty na pisanie nie
zbraknie — braknie świeżości i sił. Do-
piero wieczór... Ale wieczorem zjawia się
taki, owaki czy jeszcze inny powód.
Na domiar wszystkiego Domek Dzia-
wanowski i obaj młodzi Kolbergowie
pocynają się podmiećwać z tego, że
Frycek tylko po moskwickich poko-
jach jeździ, że Konstantemu Pawłow-
iczowi, który bije naszych oficerów po
twary, wysługuje się i wywdzieca!
Zabolało tym bardziej, że Domek
i Kolbergowie przyjaciele — a już na-
wet w salonie pp. Chopinów poczęło

się powtarzać w tym 1820 roku bardzo
nieprzychylnie zdana o Wielkosiążęcej
Mości. Monstrum — nie podobnego
pod słońcem nie było — miał się wyra-
zić sam Niemcewicz. Domek Dziewa-
nowski spytał Frycka czy wie, jak
Niemcewicz nazwał Konstantego. Del
Campo (nigdy się z Frydkiem zbyt
nie czuli) mruknął znów innym razem,
by Frycek „spytał Kurutę”, dlaczego
zastrzelił się brat narzeczonego kuzyn-
ki Del Campa podporucznik Luczyński.
W tym pytaniu nie stało już miejsca
na śmiech.

Na koniec zaś jeszcze jedna spr-
wa — otóż nie tylko ranki są sennie
i jałowe. Nawet wolne, własne wieczory
rozlażą się, męczą, niesposob się nimi
cieszyć. Fryckowi teraz już coraz lat-
wiej idzie spisywanie walców, galopad,
wariacji — tej wiosny, sypie pomysły,
jak z rękawa. Nie — nie ma żadnej
w tym radości. Niektóre od razu idą
w ką, innych nie chce się nawet prze-
korygować. A choć wszystkie wzbud-
dzają równy zachwyty w salonach, co
w sercu Żywnego lub co najwyżej rek-
torstwo Konserwatorium. Bo choć teraz
już wiadomo, że zbyt wysoko mierzył
nie należy, to jednak zawód fortepian-
nisty (nawet tej miary co Wirfel) nie
mógłby uradować serca profesora Cho-
pin. Własne wieczory — wieczory pisania
— są sprawą coraz ważniejszą, coraz
bliższą sercu. Nazwano je zaś wieczor-
ami pracowitego smutku. Frycek pisze
sam — pomysły sypie tej wiosny, jak
z rękawa”. A równocześnie wzrusza ra-
mionami, nie go nie obchodzi zachwyty
i zaszczyty.
Nie kryją się tu żadne sprzecznoci.
Wszystko się łączy. Wszystko jest ści-
śle z sobą powiązane: pracowity smu-
tek, chęć i łatwość pisania, pogarda
i bezsenność. Odszukajmy więc źródła
i przyczyny wylicznych tu, sprzecz-
nych rzekomo, faktów.
Oto one: wspomniana tylekroć wiel-
ka miłość — muzyka.
Nie ma miłości bez smutku i tęskno-
ty. Cóż dopiero, gdy zdarzy się czas
miłości nieszczęśliwej, gdy jej przed-
miot wymyka się dloniom, oczom, ser-
cu, gdy przecieka przez palce, jak sy-
pki, niepochwytny cień i jest choć nigdy
nie obcy, to zawsze daleki — a każdej,
najbardziej nawet słonecznej godzinie
życia.
Nie sądzmy, że takiej miłości nie po-
trafi przeżywać dziesięcio czy jedena-
stoletni chłopak. Dowody są zbyteczne.
Przecież przeżywa ją! — niezależnie
od czyjejkolwiek bądź wiary lub nie-
wiary.
„Malego Mozarta” dopuszczono do
organów u Pani Wyzetek. Kilka razy
dozwolono mu nawet udać się tam wraz
z maestrem porą wieczorną. Maestro
cofnął się ku ścianie — w kącie maja-
czy leniwy cień kalikanta.
Jest taka fuga — fuga w do dies
maiorze. A więc: spokój, wielki spo-
kój mądrości, pewnej sprawiedliwego
porządku świata. Mędrzec, który wy-
jaśnia ją z wielką, równie bezsporną jak
nauki, najbardziej ufający ludzkości
filozofowie. Nie sądzcie, że mały chlo-
pak siedzący cieniem porą wieczorną
nad potrójnym rzędem klawiatur u Pa-
nien Wyzetek, nie potrafi pojąć sensu
takiej chwili. Im poważniej i głebiej
wierzę się w wielkość swojej wielkiej
miłości, tym łatwiej można poznać swe
własne ubóstwo swą nicotą i błażość.
Można kochać Jana Sebastiana, przy-
jaźnić się z nim naiżarliwie. Jakże jed-
nak dorównać jego wielkości?
Wieczorem przetrzyta się nad mia-
stem szeroka burza i od strony Wisły
wiatr nioś szybko światła błyskawic.
Potem wraz z ostatnimi kroplami desz-
czu w otwarte okna weszła fala powie-
trza czystszego od wszystkich górskich
źródeł. Po szybie spłynęła srebrna siat-
ka kropel, po wschodniej stronie nieba
dwie ciche już błyskawice. Na koniec
stojący wraz z nim przy oknie pan Józef
Elsner odczwał się głosem tak cichym,
jakby mówił do siebie. Zapewne mówił
do siebie.
— Najgorza jest własna niezdatność.
Oto tak: czuje się tamto wszystko
w palcach, w sercu, dans les bras,
... w oczach. Jakby serce zaczynało
bić na nowo. Najprędz zachwylenie
i radość. A potem pustka. Wszędzie:
pustka w sercu, w ramionach, w oczach.
Tymczasem w oczach wcale nie było
pustki, tylko światło płynących po za-
chodniej stronie nieba chmur za coraz
gestszymi łzami. Pan Elsner wrócił do
wista, teraz zaś jest bliska już switu
noc.
(Dalszy ciąg w następnym numerze)

LEONID PIERWOMAJSKI

przełożył JÓZEF BOJAR

KOZACZKA

I

Futor wzięli w nocnym boju. W gestym zmierzchu batalion podszedł do niemieckich pozycji i od razu rozpoczął się bój. Niemcy okopali się na wzgórzach przed futorem i właśnie o te wzgórza, a nie o sam futor szedł bój. Walka była ciężka. Poprzerzynane drucianymi zasiekami, dobrze umocnione, były znaczną przeszkodą na szlaki przesuwania się naszego wojska. Szlaki do wzgórz leżały w odkrytym, śnieżnym stepie. To jeszcze bardziej komplikowało zadanie, ale batalion wykonał to, co się zdawało niemożliwe. Żołnierze pełzali po śniegu w białych oponkach. Strzelcy obmotali gazą podstały i ciała swoich karabinów maszynowych. Pod zasłoną ognia saperzy dotarli do drucianych zasieków i przy mocowali długie liny do wbitych w ziemię brzoźowych kółków. Ukryte w niewielkiej dolinie, traktory pociągnęły za liny i linia drucianych zagrożeń usunięta została w ten sposób ze wzgórków, umożliwiając przejście piechocie.

Na wzgórzach rozpoczął się bój wręcz. Bili kółkami karabinów, bagnietami, waliłi po stalowych hełmach rękojeściami rewolwerów, bo naboju już nie było, a ci co mieli je donosić, w bitewnej wrzawie nie wiedzieli, dokąd i komu je donosić, a zresztą strzelanie w tym zgłębku było niemożliwe — ryzyko trafienia w swoich było za duże.

Niemców wyciągano z okopów i tarzano się z nimi po śniegu, dławiąc w śmiertelnych zapasach, jako zniechędzonych wrogów. Trwało to całą noc. O świtanie wzgórze zostały zdobyte. Wtedy dopiero wyjaśniło się, że futor, o który szedł bój, właściwie nie ma. Kapitan Bartłomiej Czereda, komendant batalionu, wiele widział na wojnie. Widok zrujnowanych miast i spalonych wsi, nie były dla niego nowina, ale z doświadczenia wiedział, że po najsilniejszym nawet ogniu artyleryjskim, po najrozszerzszym bombardowaniu z powietrza, po najbardziej niebezpiecznym pożarze — pozostają na ziemi ślady poprzedniego życia, bądź w postaci zrujnowanych budowli, porożrzucanych bierwion i cegły, bądź jako pogorzelska, po których hula wiatr. Tutaj nic z tego nie było. Futor istniał tylko na mapie, leżące w torbie kapitana. W rzeczywistości tylko gdzienigdzie spod śniegu strzęczyły spony słomy, zerwane z dachów chałup.

Na jedyną ocalonej podmurówce chaty, na glinianej podłodze stała podstawka krawieckiej maszyny do szycia, czarna jak pojedyncze drzewo, co ocalały w futorze. To było ostatnim i jedynym przypomnieniem o tym, że tu niegdyś żyli ludzie.

Kapitan Czereda stał wśród pustyni. Przeszedłszy po niemieckich okopach i schronach, rozmyślał jak znikł z oblicza ziemi futor, wzięty przez jego batalion w nocnym boju.

Niemcy zamierzali tu zimować. Przyszli do futuru i choć był on całkowicie przystosowany do życia, postanowili sobie obrąć miejsce, bardziej odpowiadające zwierzęcej naturze zawsze niepewnej swojej bezpieczeństwa najędźców. Zegnali zewsząd wziętych do nielicznych żołnierzy radzieckich i ludzi z futuru, którzy nie zdążyli uciec przed walą i nakazali im nieopodal chat wykopać ziemianki, zaś na wzgórzach, za futorem zbudować obronne umocnienia. Rozbrali budynki i ułożyli w bierwion grube pokrycie nad swoimi norami. Po wymyślone troskliwe z chat oszklone ramy okienne powstawiano w podziemnych schronach. Tu również posiągali Niemcy łóżka, szafy, żelazne piece, korytka do bielizny, stare koldry, a nawet dykie rowery. W jarach, za futorem, wykopano piecizary, w których Niemcy urządzili składki, stajnie, garaże i polową elektrownię. Wszystko to było zrobione ze zrabowanego kozackiego dobra. Cegła z budynków szkolnych, ściany z chat kozackich. W ten sposób zbudowali Niemcy dla siebie podziemne miasto ogrodzone ze wszystkich stron drutem kolczastym. Od nory do nory, od ziemianki do ziemianki, od podziemnej elektrowni do podziemnego szpitala — szły liczne i głębokie korytarze, bo Niemcy bali się chodzić po odkrytej przestrzeni.

A ludzie? Nieszczęsna dola ludzi, których domy zrujnowano... Nikogo nie było widać dookoła. Tylko kruki zlatywały niekiedy z powietrza i ze złowieszczym krakaniem przelatywały nad głową.

— Może jednak ktoś został tutaj? Czyżby zupełnie nikt nie ocalał? — głośno pomyślał kapitan Czereda.

I niby w odpowiedzi na jego pytanie poruszyła się kupa leżąca słomy, potem podniosła się jakaś deska, podtrzymana drobną ręką w czerwonej, porożrywanej na palcach rekawicze, potem pojawiła się głowa, omotana kawałkiem szarego, żołnierskiego koca. Jeszcze chwila, i przed zdziwionym kapitanem stała kobieta, w której latwo było poznać rodowitą kozaczkę, córkę tych kiedyś błogosławionych i wolnych stepów.

Nie można było jej nazwać starą, bo miała młode, gorące oczy, ale także nie można było jej nazwać młodą, bo głębokie zmarszczeni porały jej oblicze, leżały blisko ściśniętych wąskich ust i pod oczami, a siwe pasy włosów wychylały się spod tego, co imitowało jej chustkę.

Kozaczka bezradnie stała w pobliżu lochu kiedy kapitan podszedł do niej.

— Co z wami, obywatelko? — spytał kapitan Czereda, widząc, że kobieta

usuwa się od niego, chcąc znowu się schować. Posłyszawszy jego głos, kobieta zatoczyła się. Podbiegł na czas. Gdyby jej nie podtrzymał, byłaby upadła. Żołnierze podeszli popatrzeć na jedyną ludzką istotę, jaka ocalała w futorze, chcieli z nią porozmawiać, wypytać...

...Ale nie mało minęło czasu, zanim kozaczka mogła przemówić. Oczy jej były suche, a głos przedzierał się z trudem; ledwie mogła powstrzymać w sobie spazmy, rozrywające jej piersi.

II.

Kozaczkę zwali Paraską. Miała dwadzieścia dziewięć lat, kiedy mąż jej, Stefan Frolkow, trzydziestoletni krasawiec-kozak, poszedł na wojnę, pozostawiając ją z dwójkiem dzieci — Łonkiem i Wariuszą.

— Strzeż chaty, gospodarstwa i churdoby — powiedział na pożegnanie — ale przede wszystkim strzeż dzieci.

Wojna była daleko — o tysiąc kilometrów, i co to takiego jest ta wojna, nie bardzo rozumiała. Nieszczęściem było, że zboże stało nie zebrane na polu, a najlepszych ludzi odrywano od roboty. Paraska musiała nie mało na pracować się tej jesieni zarówno w kółkach, jak i w swoim gospodarstwie. Wojna zbliżała się. Droga kolo futuru przechodziła stada bydła i traktory z Ukrainy. Chore na racie krowy ostrożnie stawały w tyle drożyny skrawione kopyta. Na wozach ciągniętych przez traktory leżały skarby uchodźców, siedziały czarnoookie dzieciaki, podobne do jej Łonka i Wariusza.

Zima przemieniła w oczekiwaniu listów od Stefana. Wiosna dopiero przyniosła pierwszy list. Stefan był ciężko ranny w zimowym boju pod Łazawą; zdrowe i silne jego ciało przemogło śmierć, że szpitala wracał znowu na front, pisał, że marzy o tym, żeby strzelać z karabinu ze zwierciadlanym celownikiem, który pozwala trafić Niemca z dużej odległości.

Jak to się stało, że niemieckie armaty zagrzęziały pod samym futorem — Paraska nie rozumiała. Futor stał w stepie, jak wyspa pośród bezbrzeżnego morza. Późno w nocy Paraska zasnęła, wśród armatniej strzelaniny, kładąc się razem z dziećmi na podłodze pod ścianą, żeby było bezpieczniej.

Rankiem w futorze gospodarowali już Niemcy.

W budynku Frolkowych rozłożył się sztab niemiecki. Budynek był nowy, najpiękniejszy w futorze. Budował go Stefanowi Frolkowemu cały kolchoz, jako najlepsznemu kombinierowi. Paraskę Niemcy wypędzili z chaty i łaskawie zewzwoili mieszkać razem z dziećmi w letniej kuchni — maleńkiej, odkrytej oczeretem chatce, którą wypełniały: wielki piec kuchenny i kocioł do prania bielizny.

Z chaty nie pozwolili niczego zabrać. Łonka i Wariusza układała Paraska na dzieczie do ciasta, nakrywała ich derkami, a sama spiała na ziemi kolo progów.

Nastaly ciężkie dni. Do chaty Parascie nie wolno było wchodzić. Stojąc na progu kuchni, widziała, jak Niemcy z domu systematycznie wywozili jej dobro — nową, krawiecką maszynę do szycia, kupioną przed wojną w Stalingradzie; rower Stefana z pełnym kompletem narzędzi w skórzanym torbie, paterfon z ulubionymi płytami; skrzynię z lepszym odzieniem; cały dorobek z lat kółchoźnianej pracy... wszystko zniknęło bez śladu. Paraska, milcząc, patrzyła na to wszystko. Milczała i wówczas, kiedy zabierali z obory krowę i zarzynali owce. Na protest nie miała siły, gło błagała była zbyt harda.

Wróz z przybliżaniem się jesieni było coraz gorzej. Razem z innymi i Paraskę przmusili do pracy w niszczeniu futuru. Początkowo rozbrali szkołę i magazyny kolchozowe. Potem przyszła kolej na budynki mieszkalne. Niemiec pokazywał, jak trzeba pracować. Ko-

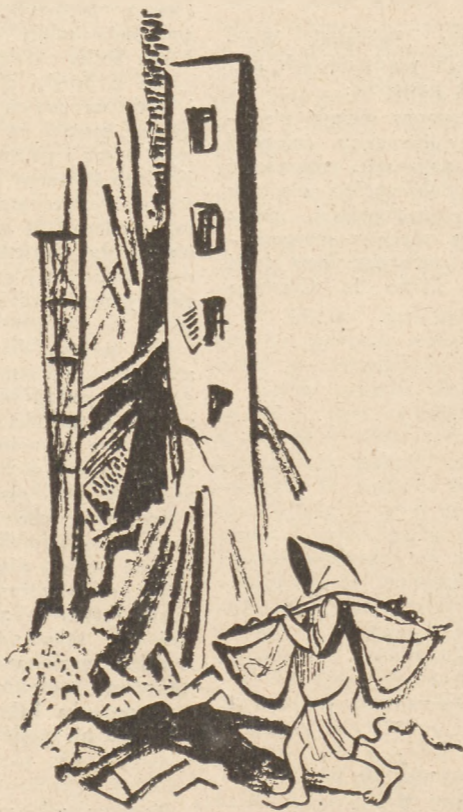
pali jamy na schrony na pagórkach. Kopali tunele. Na rękach znosili tutaj kamienie, kłody i deski. W duszy Paraski poczucie bezsilności łączyło się z jakąś nieuzasadnioną nadzieją, że jej gniazda nie zburzą... Już rozebrali wiele budynków, już dziesiątki rodzin tużliły się po lochach, już śladu nie zostało z kamiennej szkoły i kolchoźnych magazynów, a jej dom jeszcze stał pośrodku spustoszonego futuru, czysty, jasny, z wielkimi oknami.

— Nie będą rozbierać, taki ładny dom — myślała Paraska — nie darmo go dla oficerów wybrano... Oficerowie pod ziemią mieszkać nie będą.

Ale przed sąsiadkami, przed tymi, których już dotknęło nieszczęście, było jej nijak.

— Jednakże, Parasko — powiedział ojciec Kosuchin, co kopał obok niej tunel na górze za futorem — i na twoje przyjdzie kolej...

— A może mnie ominie — nieostroż-



rys. William Gropper

nie przemówiła Paraska, wyrzucając wielką łopatą ziemię z dołu, w którym stali po piersi.

— Nadzieja matka głupich — rozgrywał się Kosuchin — nierozumna ty... Niemiec nas zrujnować przyszedł, ja ci to mówię! Czy ty... może... czymś innym okupić się myślisz?

Paraska zachnęła się.

— Ja też swoją część znam — cicho powiedziała i jeszcze ciszej i twardziej dodała: — A dobra swojego ruszać nie dam. Choćby mnie i śmierć...

Ojciec Kosuchin tylko ręką machnął. — Ja — mówił — na śmiecie przeżyłem więcej od ciebie, a umierać ochoty nie mam. I słowa nie powiedziałem — zrujnowali. Za wszystko później zapłacą.

Na drugi dzień rozbierali chatę wdowcy, znaną na futorem pod imieniem Illiczychy. Chata była stara, niziutka, wrosła w ziemię, ale Illiczyca przetrwała w niej całe swoje ciężkie życie i rozłaziła się z nią było jej ciężko. Upadła na kolana, płakała, błagała...

Niemcy zrazu głucho patrzyli na Illiczykę, aż naraz któryś kopnął ją butem w piersi; upadła na progu, potem poderwała się i, niby ślepa, obmacując palcami szarą glinę swojego mieszkania, zaczęła wykrzykiwać:

— Ściany moje mile, okna moje jaśnieniście... Nie dam ja was na rozbiórki!... Oj, gdzieś moja biedna głowa się przyluli... gdzie ja podzieję się sierotki?...

Wygląd jej i głos były straszne. Wszyscy zastępli, poruszeni jej rozpaczliwą odwagą. Nikt nie zauważył, jak Niemiec wyciągnął rewolwer. Padł strzał, Illiczyca osunęła się na ziemię, zepięając się palcami ściany. Paznokcie jej wrywały w glinę głęboko, długie i brudny...

Paraska Frolkowa widziała to, bo ją przynagli, żeby i ona rozbrala chatę Illiczychy. Stała w pobliżu ściany, zasłoniwszy twarz chustką, żeby nie widzieć, jak topzą się lzy po jej policzkach.

Stawała przed nią jej dola, jeszcze bardziej gorzka. Będzie ona bić się za chatę — zabije ją Niemiec, dzieci zostaną sierotami... Dla dzieci żyć trzeba. Stefan nakazywał: przede wszystkim strzeż dzieci...

III.

Gdy po kilku dniach nadeszła kolej na obcisłe Paraski, sąsiedzi ze zdziwieniem patrzyli na to, z jakim zapalem niszczyła swój nowy dom. Śmiejąc się i wykrzykując zrzucala ona dachówkę z dachu, zdejmowała drzwi z zawiasów i ciągnęła ciężkie bale.

— Kupka, sąsiadki, nie cudze rozbieramy, swoje, rodzone... Zmęczyłam się, goląbeczki... Oj, niedola...

Ojciec Kosuchin, ostrożnie, wyjmując okna, żeby nie uszkodzić szkła, tylko głową kręcił, nie rozumując, jaki to obecnie jest naród! Toż niedawno

za swoje dobro umierać się zbierała, a obecnie wrogom swoim dopomaga z ochotą! Oczy Paraski były suche. Usta, które przed chwilą wesoło się śmiały, zaciskała mocno, żeby nie wybuchnąć płaczem. Nikt nie wiedział, ile trudu ją kosztowało powstrzymać siebie, kiedy Niemiec, poklepując ją szeroką dlonią po plecach, powiedział: — Molodiec dziecka... karosz...

Potem kazali jej wyrwać kocioł z pieca w letniej kuchni. Gdy nie mieścił się w wąskich drzwiach, rozwalili całą kuchnię.

Nadchodziły chłodne, jesienne deszcze. Paraska z dziećmi zamieszkała w lochu, do którego schodziło się po drewnianej drabince, podnosząc deskę, służącą jednocześnie za dasz i drzwi. Przyniosła tutaj trochę oczeretu i słomy, nakryła je łachmanami. Posłanie dla Łonka i Wariusza było gotowe. W kątku postawiła prymitywny piecyk z cegły. W pobliżu rumowiska, gdzie dawniej stała szkoła, poniewieraly się zarzewiałe kawałki rytni. Paraska zmagistrowała z nich dymnik, który zabierał wiele ciepła, ale trochę chronił od dymu. Resztkami swojej chaty podtrzymywała ogień w tym piecyku. Ale i to można było ścierpieć. Najważniejsze, że Łonka i Wariusza z nią były. Milczała, nie płakała i nawet uśmiechała się do Niemców. W nocy, siedząc w lochu, podkładając suche trzaski na ogień, przysłuchiwała się oddechom śpiących dzieci i myślała:

— Ustrzeżę nasze kruszynki... Stefan przyjdzie i oceni moje przeżycia i kłopoty.

O tym, że Stefan przyjdzie, nie wątpiła. W długie utrzymanie się niemieckiej władzy nie wierzyła. To jest nieszczęście, które koniecznie trzeba przeżyć. Życie pójdzie po staremu, nie, wszystko będzie jeszcze piękniej, gdy przegonią Niemców i Stefan powróci do domu. Dzieci drżały, przyluszyły się jedno do drugiego... Gdy poruszał się we śnie, suchy oczeret trzeszczał pod nimi... Ostatnią jej radością i ostatnią nadzieją na przyszłe szczęście było dwoje tych maleńkich, jasnowłosych, oberwanych, wiecznie głodnych istot, co nie straciły ochoty do śmiechu.

Dla nich, dla przyszłego ich szczęścia — żyła Paraska, niczym wilczyca, w wilgotnej jamie; dla nich, przyszłej radości swojej — prala bieliznę niemieckim żołnierzom; dla nich kryła swe bóle i lzy... — Stefan im za wszystko zapłaci.

Tak, dzieci były dziećmi, choć jakże surowe i pozbawione radości było ich dzieciństwo. Niczym w gąbki, co wssysają wodę, wssyszały się w nie wszystko, co widziały i słyszały, wszystko, co odbywało się naokoło. I straszny świat walki i ludzkich cierpień odbijał w nich i ich duszach, po dziecinemu gorąco i, czysto...

Był jasny, jesienny dzień, pełen słonecznych promieni i tej rzadkiej ciszy w przyrodzie, która jest właściwa tylko zmierzchowi i porze zamierania. Paraska wypuściła dzieci z lochu, żeby pobawiły się na powietrzu, nakazawszy im, by nie zbliżyły się do okopów i nie halasowały. W pobliżu widać było tylko dwóch Niemców: stojącego na warcie przy schronie sztabu żołnierza, i jednego oficera. Paraska znalazła go z widzenia i wiedziała, że umie on nieco po ukraińsku. Teraz siedział na leżącej kłodzie drzewa i w milczeniu palił fajkę.

Niemiec niedbale popatrzył na bawiące się w pobliżu kozaczka. Może przypomniały mu one coś dalekiego. Wygląd wesołych dzieci poruszył, rozbudził coś w odczuciu i odurzonym od alkoholu i przelanej krwi, mózgu Niemca. Począł przysłuchiwać się rozmowie dwojga maleńkich kozaczek. Głośny dziecięcy szepet wyraźnie dźwięczał w ciszy jesiennego dnia. Rozmowa dzieci stawała się oiekawa. Niemiec odgwał od siebie drzemkę.

— Ty będziesz Niemcem, a ja Czerwoną Armiją — namawiał maleńką Wariuszę starszy Łonka.

Ona uparcie kręciła głową i robiła zaleknione oczy. — Dlaczego ja mam być Niemcem? Nie chcę...

Łonka, szeptał jej bardzo głośno do ucha:

— Z początku ja odstąpię, a potem będziemy walczyć, kto kogo zmoże... Wariusza wahała się.

— Ty zmożesz, ty jesteś silniejszy.

— Czerwona Armia też silna — przekonywająco powiedział Łonka. — Tam jest nasz tata. — To Wariuszę przekonało. Brat i siostra zaczęły się mocować. Walka była zażarta i prowadzona z niejednakowym powodzeniem. Łonka z początku poddawał się siostrzyczce, żeby nie odstąpić od rzeczywistości, ale po chwili gra porwała i widział już przed sobą nie Wariuszę, a Niemca, który nie pozwolił im mieszkać w chacie, zepchnął do lochu, gdzie dawniej stały beczki z kwaszoną kapustą i ogórkami... I dziecięca złość nim owładnęła. Zadawał siostrze pończki, powalił ją na ziemię i przygniół kolanem jej brzuch...

Dwa wystrzały zabrzmiały na placu; zmusiły Paraskę do wyrznięcia z lochu. Dzieci leżały w kałużach krwi jedno obok drugiego. Niemiec siedział jak przedtem, i zapinając kaburę „parabellum“ zamglonymi, bezmyślnymi oczami patrzył dookoła. Paraska drżąc ze zgrozy z podkładką twarzą podeszła do niego.

— Za co? — spytała cicho, jakby nie chodziło tu o śmierć jej dzieci.

W spojrzeniu jej ostrych i suchych oczu nie było błagania czy strachu,

patrzyła prosto i wyzywająco. Niemiec na wpol przytomnie, niby szczekając, wykrzyknął:

— Oni niewiernie grali! Dziewczynka była Niemcem i dawała umyślnie siebie przewyżczać... Besiegen! Unmöglich! To nie karosz!...

Paraska nawet nie zaplakała, chociaż jej serce krwawiło. Nie płuęła mu w twarz. Wola kozaczki przemogła gniew. Zdobyła się na pokorę i Niemcy pozwolili jej pochować dzieci. Niedaleko od swego lochu wykopala mogiłę, zaznaczyła ją kamieniami.

Nadchodziła zima, a ona nadal żyła w swojej jamie. Spadł pierwszy śnieg. Głowa jej okryła się siwizną. Pochłaniała ją teraz tylko jedna myśl: — Stefan zapłaci im za wszystko.

IV.

Myślała tylko o Stefanie i o tej strasznej zemście, jaką wyrznie na Niemcach za zrujnowanie ich chaty i za śmierć ich dzieci.

Chwilami zdawało się jej, że widzi go idącego po śnieżnych drogach z karabinem na ramieniu, z granatami przy pasie, w szeregu takich samych jak on, postawnych, dzielnych i śmiałych żołnierzy-mścicieli. Innym razem przywidziało jej się, że Stefan pelźnie na placu boju pod ogniem niemieckich armat i karabinów maszynowych.

— Boże, odwróć od niego śmiertelne kule! — szepiała w nocy, nieporuszenie leżąc w piekielnych ciemnościach swojej nory.

— Do grobu mnie zgnali żywcem... Czasem widywała w swych snach Stefana w ataku. Biegł z karabinem w rękę, krzycząc z całych sił „urra“.

Niemcy uciekali przed nim, podnosili ręce i błagali o litość, ale on ich nie oszczędzał.

— Nie żałuj ich, Stio... Dzieci naszych oni nie pozalowali...

Wiele jeszcze widziała w swych samotnych snach i majakach. Żyła czekaniem. Przelatujące niekiedy nad futorem radzieckie samoloty z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach spotykała i odprowadzała tęsknym spojrzeniem, jako zwiastuny wolności. Gdy pierwszy raz dojrzała troskę na twarzach Niemców, zabiło jej radośnie serce. Na wschodzie — za górami — grzmiały już armaty. Zdawało się, że mówily one: — Wkróćcie! Wkróćcie!...

Wszystkich ludzi z futuru Niemcy pognali przed sobą... Kobiety rozpaczały, żegnając rodziną miłą sercu ziemię... Dzieci szły bosą po śniegu. Mężczyźni ponuro spoglądali na drogę, nie podnosząc oczu na konwojentów. Ojciec Kosuchin, młynarz kółchozu, doszedł do wzgórz, gdzie dawniej stały wiatrak i jego radość i duma, popatrzył na porożrzucane kosze i żarna, siadł na ziemię i powiedział:

— Ubijcie, a dalej nie pójdę. — Przebił go bagnetem.

Paraska Frolkowa i teraz nie płakała — i pozostawiła ją w futorze, uznając za obłąkana i przez to niegroźną.

— Nic — myślała — nasi blisko... Przyjdzie Stefan, zapłaci im za nasze krzywdy. I Stefan przyszedł. Rankiem, wychodząc z lochu, zobaczyła go. Stał na śniegu, na środku ich podwórza, przed niemieckim schronem, zrobionym z drzewa ich domu. Bez czapki i bez nasa, w płaszczu z oberwanymi guzikami, podtrzymywał lewą ręką prawą, zranioną.

Niemiec siedział przed nim na stołku podróżnym z niklowanego grubego drutu i paląc fajkę, tepe patrzył na niego smod ciężkich czerwonych powiek.

— Stefanie! — chciały krzyknąć usta Paraski, ale głos zamarł jej w piersiach. Oczy ich spotkały się, poznał w tej obdarci, siwej, postarzałej kobiecie, swoją dawną rodzonną miłość i władczo nakazał jej oczyma:

— Milcz! Czego bś ty nie pomyślała teraz, czego bś ty nie zobaczyła, co by ci nie przyszło przeżyć, milcz! Tak zdarzalo się w życiu, jak nie często się zdarza. Nie będziemy narzekali... Nie myśl, że lekko mnie wzięli... Nie jestem tchórzem ani zdracą. Oni szukali „języka“. Rozumiesz, w takich wypadkach idą na wszystko. Szczęściu zostało tam, na śniegu w pobliżu mojego okopu. Przyszedłem tutaj w nocy, żeby o światniu rozpocząć „polowanie“.

W ciemności można było bronić się tylko granatami. Potem zranili mnie w prawą rękę, i nie mogłem więcej się poruszać. Wtedy rzucili się na mnie, powalili na ziemię i przygnieśli mnie tutaj na postonku. Wiesz co ogląda ten oficer? To ezata, zabrał ją z mojej kieszeni... Nic już nie może mnie uratować, ani prośby, ani błagania. Wiesz, moja fotografia na pierwszej stronie. Tak, to ja ubilem 113 Niemców. Oni stali między mną a tobą. Ja musiałem ich zabić...

— Stefanie! — wolały do niego jej oczy. — Widzisz, oni zrujnowali nasz dom... Czemu ich nie spytasz, co oni zrobili z Łonkiem i Wariuszą? Ja nie zdołałam ich ustrzec...

— Milcz, milcz!... To nie twoja wina. Widziałem to samo we wszystkich innych futurach i staniach. Żaluję tylko, że za mało jeszcze ubilem tych zwierzaków. Odejdź stąd, by nie patrzeć na to, co oni ze mną zrobili.

— Chęć umrzeć razem z tobą!

— Nie, ty musisz żyć, żeby o wszystkim opowiadać ludziom. Ty — idź, tak mi będzie źle...

— Wszystko jedno, ja żyję w mogile, Stefanie, ja muszę umrzeć z tobą...

— Nie, wkróćce przyjdą nasi!... — Zegnal!

I jeszcze wiele opowiedzieli sobie w tej krótkiej chwili, gdy ich spojrzenia

się spotkały. I znowu usłyszała strzał, który głucho zabrzmiał w jej lochu. Serce skamieniało. Jeśli były jeszcze w jej oczach lzy, to wypalił je ogień cierpienia. Stawała się mooniejsza od krzemienia. Straciwszy wszystko, nabyła jedno: niewzruszoną, zahartowaną bitem ludzką duszę.

Zrozumiał to, patrząc na nią kapitan Bartłomiej Czereda, komendant batalionu, w którym służył zaginiony snaper, Stefan Frolkow.

— Cóż wy teraz... Jak myślicie żyć? — zapytał.

— Z wami pójdę — prosto odpowiedziała Paraska.

Kapitan Czereda popatrzył na żołnierzy, którzy ciasnym kolem otaczali ją i kozaczkę. W oczach ich błyszczało osobiwe uczucie! Nie można go było nazwać łością, bo stał nie może być zła, chociaż w jej blyszczącym chłodzie iskry się siostra łości — ogromna ludzka miłość.

— Weźmiemy ją? — zwrócił się do swoich żołnierzy kapitan.

— Stefanowa weźmiemy... Gdzie ją podziąć? Kucharzy bedzie... Weźmiemy — chórem krzyknęli żołnierze.

Ale Paraska, kiwnąwszy głową, powiedziała powoli i cicho swoim wladczym głosem, któremu poddali się wszyscy:

— Karabin dla mnie. Odkucharzyłam ja już swoje... Nie tego serce moje żąda.

I tutaj zdarzyło się to, czego potem nigdy nie mógł zapomnieć kapitan Czereda. Ktoś z jego żołnierzy ochoczo zdjął z siebie karabin i założył go Parascie na ramię. Drugi dopomógł jej rozmotać koc, który miała zamiast chustki. Trzeci nasunął jej na głowę swoją czapkę... Jeszcze jeden oddał jej swój pas. I oto już stała przed nim, po nowemu — smukła i piękna, siwe włosy wymykały się jej spod czapki, a młode oczy śmiały się i płakały, łzy ciekły po jej ciemnym obliczu — nie wycierała ich... Przez lzy, niby z mgły, wstawał znowu znaleziony świat.

I za chwilę Paraska już szła razem z tymi łagodnymi i surowymi ludźmi, a czując na plecach przyjemną wagę karabinu, szepiała tylko ustami bez głosu:

— Stio... Dzieteczki moje... Rózdzone...

Leonid Pierwomajski
przełożył Józef Bojar

MIMOCHODEM

Czar uniformu

Na jednej z małych stacyjek zachodnio-niemieckich, znany aktor, spieszący na przedstawienie sztuki Zuckmayera i bardzo zdenerwowany — bo groziło mu spóźnienie — uskokował do ruszającego pociągu. Scenę obserwował typowy niemiecki „Bahnpolitist“. Obserwator, oczywiście, by wystąpić czynnie w obronie porządkowych przepisów ścisłał na plecy zbyt nerwowego aktora i signał za blok, by doreczyć mandat karny. Można sobie wyobrazić nastroj artysty! Nie tylko, że stracił nadzieję na punktualne przybycie, nie tylko, że groziło mu jeszcze zapłacenie grzywny, ale nadto musiał przeżyć upokorzenie, którego doznaje każdy człowiek, gdy go przymusowo i znieacka ściągają z pociągu za plecy. Nic dziwnego, że on wzięła się ostra dyskusja — a ponieważ waz policjanci, zwłaszcza niemieccy, straszkują nie lubią, incydent znalazł swój finał — na posterunku.

Nastąpiły zwykłe formalności. Zanim jednak urzędujący komisarz zdołał ulegitimować aktora, zwrócił uwagę na kuferek, który znajdował się w rękach „przestępcy“.

— „Co pan ma w tej walizce?“ — zapytał przedstawiciel władzy, pamiętając, jacy może okres wojny, gdy w bagażach podróżnych ukrywano w krajach okupowanych różne przedmioty niedozwolone, od armat aż do kielbasy.

Oburzenie aktora (który okres hitlerizmu spędził zapewne na emigracji) nie miało granic.

— „Jakim prawem pan o to pyta?“ — zawołał.

Zamiast odpowiedzi pan komisarz, był za policjantówi przemocą otworzył kuferek. Ale nat

WOJCIECH NATANSON

PARE UWAG O „KRONIKACH” PRUSA

Bolesław Prus. „Wybór kronik i pism publicystycznych”. Warszawa, „Książka”, 1948; Opracował Zygmunt Szweykowski. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych pod redakcją Kazimierza Budyka

Od dzieciństwa słyszeliśmy, że Bolesław Prus był nie tylko wielkim powieściopisarzem, ale i znakomitym felietonistą. Niestety, nikt prawie nie znał owych „kronik tygodniowych”; ugrzęzły w zakurzonych tomach starych czasopiśmie. Mimo legendy, mimo felietonowej sławy Prusa, nie myślało o przedrukach.

Sprawa nie była zresztą prosta. Autor „Lalki” pisał owe sławne „kroniki” bez przerwy od roku 1874 do 1912, niemal pół wieku. Prof. Szweykowski oblicza, że pełna twórczość odcinkowa Prusa zajęłaby około 50 tomów — całą bibliotekę. Któż mógłby podjąć taki trud wydawniczy? Ilu ochotników zdecydowałoby się na przestudiowanie całości? Trzeba więc było z konieczności — zadowolić się wyborem. Prof. Zygmunt Szweykowski dokonał selekcji, dając nam pięćdziesiątą część kronik w jednym kilkustronicowym tomie — który przeczytać łatwo. Nie można, rzecz prosta, powiedzieć: czy wybór daje pełny i dokładny obraz stylu, metod felietonowych i tematów, które zawierały Kroniki Prusa i inne jego utwory publicystyczne.

Ale uderza jedno: rozbieżność między legendą o felietonowym tonie „Kronik”, a rzeczywistością. Słyszeliśmy zawsze o dowcipie Prusa, jego lekkości i humorze. Bezspornie znajdujemy to wszystko w dokonanym przez prof. Szweykowskiego wyborze. Tylko — że znajdujemy także i coś innego, ambicje odmiennie, tendencje nowego rodzaju.

„Dobry humor jest jak oset: kaleczy przyzwyczajone uformowaną gębę, a cieszę osłów” brzmi motto, które umieścił Prus na pierwszym tomie swych humorystycznych utworów. A w artykule z r. 1890, „Słowo o krytyce pozytywnej”, tak określa Bolesław Prus swój stosunek do owych spraw: „Nie wiem czy jest w naszej literaturze człowiek, któryby czuł taki wstręt do „dowcipnego” pisania i tyle wycierpiał co ja, właśnie z powodu wesołego nastroju czytelników. Ile to razy mówiono mi: „Mój drogi, daj dowcipną kronikę” — to znaczy to samo, jakby proponowano komuś, żeby na pewien czas dostał kataru lub wymiotów”. „Od chwili wejścia do literatury nie ukrywałem antypatii do bezcelowych konceptów. Podpisywałem się pseudonimem, wprost ze wstydu, że takie głupstwa piszę. Z pewnej gazety, która na gwałt została mi być dowcipnym i pisać tylko o „pyłkach i drobiazgach życia” wystąpiłem po trzech felietonach, choć byłem w niedostatku”. Prus uważał swój dowcip i humor za „uboczny produkt” twórczości, prawie za „malum necessarium”. Raz po raz w felietonach i kronikach znajdujemy ślady owej walki, toczonej przeciw pewnej grupie czytelników, która szukała tylko zabawy i konceptów. „Pewna dama” — pisze Prus w r. 1887 — „która pijąc Karlsbad jada sałatę i podczas majowych mroźów chodzi na spacer w ażurowych ponczoszkach... życzy sobie, żebym jej

opowiedział coś nowego. Skarzy się, że jest chora, że jest zmęczona kuracją, że jest zdenerwowana dietą i że chciałaby myśleć o odwiecaniu broń Boże! nie od kłopotów, ale od nudów codziennych. Gorszy ją to, że gazety są puste i dziwi się, że w Warszawie jest tak spokojnie i nudno właśnie wtedy, kiedy ona najbardziej potrzebuje rozrywki”. Z furją uderza również Prus na Świętochowskiego: „Wszystkiego mi odmawia: nauki, przekonania, porządnego myślenia, tylko — uwielbia moją „dowcip” — dowcipny krytyk!”

Felieton jest jednym z nielicznych lekarstw, jakie cywilizacja nasza wymyśliła przeciw chorobie specjalizacji nadmiernej. W życiu umysłowym jak w systemie naukowej organizacji pracy, każdy sto tylko przy swojej maszynie i naciska jedną, jedyną skrówkę. Felietonista musi znać się — niemal na wszystkim. Kto pisze wciąż na ten sam temat, że spełnia swe zadania.

Prus ogarniał w „Kronikach” niezmiernie rozległą perspektywę tematów. Wynotowałem ich sobie, dla przykładu, całe mrowie: sytuacja w kraju, zagadnienie wojny i pacyfizm, sens życia, uczciwość i złoździęstwo, sprawa kobieca, położenie robotników na Zachodzie (w Belgii), stosunek społeczeństwa do badań przyrodniczych, pomnik Mickiewicza i upowszechnienie jego pisma, malarstwo Gierymskiego i rola światła w obrazie, pojęcie dowcipu i humoru, poezja i stosunek do niej w Polsce, pojęcie stylu w sztuce, bohaterstwo, polski patriotyzm, oświata ludowa, stosunek do wsi, zadania literatury itd. O każdej z tych spraw umiał autor „Kronik” powiedzieć wiele rzeczy interesujących i nowych; banałów nie powtarza nigdy, jego sztuka pisarska jest przede wszystkim — sztuką samodzielnego myślenia.

W gęstym lesie rozlicznych spraw i zagadnień, w labiryncie faktów aktualnych nie gubi się myśl Prusa, gdyż przy całej swej gęstości nie traci on nigdy z oczu założeń zasadniczych. „Kroniki” nie są zbiorem paradoksoś i uwag, igraszką myśli, łowieniem efektów. Nie będąc nigdy jednostronny i monotony, Prus zostaje wierny swemu ideałowi myśli badawczej, empirycznej, trzeźwej, nie gardzącej kryteriami zdrowego rozsądku. Przykładem może być choćby — sprawa pomnika Mickiewicza w Krakowie. Prus był przeciwnikiem tego pomnika, uważając — że lepiej wydać pieniądze na upowszechnienie dzieł poety. Myśl Prusa, dodajmy, częściowo została zrealizowana. W „Kronice” z 1888 r. mógł więc napisać autor „Lalki”: „Zanim Mickiewicz doczeka się monumentu na placu Szczepańskim, między jajami, sałatą i drobiem, już wybudowano mu najwspanialszy pomnik, wydano cztery tomy jego dzieł za... 80 kopiejek”. Głęboka wiara Prusa w postęp ludzkości i potęgę wiedzy badawczej kazala mu pięknie i entuzjastycznie pisać o wielkim fizyku: „Newton jest jednym z tych mędrców, którzy podnieśli myśl ludzką nad ziemię, którzy pozwolili jej szymbować między gwiazdami, którzy kazali patrzeć nam nie tylko na koniec nosa i dno kieszeni, ale — w przestworza o miliony, setki i tysiące milionów mil od nas odległe. On sprawił, że znamy dziś mechanizm

nieba równie dokładnie, jak mechanizm zegarka”. Konsekwentnie i zgodnie ze swym poglądem na świat zwalcza Prus społeczne przesady. Jedną z najstraszniejszych kart w jego książce jest felieton, poświęcony kastrości, gdzie opowiada jak to „pan X, niegdyś wozny, podawczy się na członka jednej z nowozałożonych instytucji w Warszawie, nie został przyjęty, dlatego, że był kiedyś woznym” oraz że „pan Y, straciwszy majątek został kelnerem w restauracji, w której przed laty spędzał wesole chwile”, wskutek czego „dawniejsi towarzysze zabaw zobaczywszy go w roli kelnera podali zbiorową petycję do gospodarza zakładu, ażeby... wydalł go z restauracji, gdyż inaczej przestaną się w niej stłocować”. „Piekielna cbręcz kastrości” — konczy Prus ten felieton — „dopóty będzie nas gniołła, dopóki gdzieś nie pięknie”, gdyż „społeczność podzielona na nieznoszących się wzajemnie: majstrów i czeladników, gości i kelnerów, naczelników i woznych... jest podobna do pociętej na kawałki glisty, która może przydać się już tylko na żywienie karpia albo szczupaków”.

Szczególnie nas interesują poglądy Prusa na sztukę i pisarstwo. Mimoходом, w felietonie o obrazach Gierymskiego, rzuca pisarz ciekawe uwagi o malarstwie historycznym (które ocenia ironicznie, wyprzedzając St. Witkiewicza), o roli tematu i rysunku, o przedmiocie i oświetleniu. Swoją teorię literatury określa bardzo ściśle w recenzji z „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza jako „szukanie przyczyn i praw, rządzących światem w sposób plastyczny, zrozumiały”. Z tego stanowiska ocenia Prus pierwszą część Trylogii — i trzeba powiedzieć, że w dziełach naszej krytyki mało jest kart równie surowych, przekornych, równie na pierwszy rzut oka nieodpartych, jak owa analiza „Ogniem i mieczem”. Dość powiedzieć, że bohaterów powieści sienkiewiczowskiej dzieł Prus na figury realne i nierealne, przy czym za postaci nierealne uważa — Zagłobę, Podbiplęte i Skrzetuskiego. O Podbiplęte pisze np.: „Złowroga to figura. Gdy człowiek przypomniał sobie jego monomanię ścinania głów, straszna się, dziewczęco, łagodność i pobojność, wtedy — przychodzi na myśl gilotyna. Zdejże się, że to potworne rusztowanie przybrało ludzkie kształty i od czasu do czasu poci się westchnieniami i modlitwami, jakimi mimowolnie nasłakło przy egzekucjach”.

Nie trudno się dziwić, że autora „Kronik tygodniowych” urażały zachwyty nad ich dowcipem, skoro ich twórca uważa się przede wszystkim za bojownika, szermierza, moralistę, społecznika, obywatela, patriotę. Prus (podobnie jak Asnyk, były uczestnik Powstania) rozpoczyna swą działalność pisarską z wyrazną myślą o sytuacji kraju. W artykule „Sprawy bieżące” (1876 rok) tak rozumuje: „Jeżeli na ulicy wóz rozmiadał biedaka, podnosią go przychodnie i rany mu opatrzą; ale ten, kogo wóz życia rozmiadał, niech nie wygląda lekarza ani pomocy, bo straci czas na próżno. Nasza ziemia, pedzona wśród nieskończoności, podobna jest do trawty robotników: kto raz stracił na niej równowagę i nie próbuje odzyskać stanowiska — ginie bez nadziei i

żalu. Na szczęście w tej olbrzymiej walce miliardów istnień każda jednostka i każda grupa jednostek ma tysiące szanów do zdobycia i tysiące do stracenia. Stracił 100 punktów — broń 100 innych, a ze 100 innych atakuje. Zwycięstwo zawsze pozostanie przy wytrwałości, a na odwrót — najhaniebniejsza i zupełna zagłada grozi tym, który przegrasz na jednym punkcie, poddając się na całej linii. Z tego stanowiska uważane klęski są błogosławieństwem dla jednostek, gatunków i społeczeństw energicznych: uczą bowiem poznawać błędy i unikać ich na przyszłość”. „Pokonani i wszelkiego rodzaju biedacy — nie rozpaczą, albowiem 10 klęsk ani 10 zwycięstw nie stanowią o rezultacie. Marzyciele — zejźcie na ziemię, wam się ona może spod nóg usunąć”. „Oto są hasła, które radbym powtarzać wam co tydzień i co godzinę — wyrzyc na kamieniach, po których stapać, na stołach, przy których jecie, nad łózkami, na których sypiacie... Ta muzyka zahartuje wam dusze, skrzepi mięsaki, zapali ogień w piersi. Przy niej bez ślamazarnego żalu upadniecie w pracy nie po to, aby słuzycy za pastwę robakowi zapomnienia, ale po to, aby utworzyć potężny szaniec dla następnych pokoleń, by te dosięgły wreszcie ziemi obiecanej, której nam, ojcom ich nawet oglądać nie dano”. Jak widzimy, pełnym głosem przemawia tu Prus — pozytywista, ale jest w „Kronikach” i taka problematyka, która może nas zainteresować nie tylko jako czujnych obserwatorów procesu rozwojowego historii, ale także jako uczestników zdarzeń naszej epoki.

Właśnie dlatego, że autor „Kronik” umiał czytać najczulsze i najbardziej drażliwe urazy — bólących chwil poruszał popr. nie sprawy niezakończony i wciąż jeszcze żywe. Nawet wówczas, gdy zalałwiał własne porachunki osobiste jest dla nas zrozumiały, pouczający — i bliski.

Wojciech Natanson

FILM - Kino - FILM

GEORGES SADOUL

Liść z Paryża

„O ŚWICIE”

Film Louisa Daquin „O świecie” to naprawdę najlepszy film wyświetlany w bieżącym sezonie we Francji. Blisko rok mija od czasu, kiedy ostatnie prace nad filmem zostały zakończone. Realizator musiał jednak czekać długie miesiące zanim znalazł wolny ekran w Paryżu, gdyż programy kin francuskich są coraz bardziej monopolizowane przez produkcję amerykańską. W styczniu na 41 nowych filmów, wyświetlanych w stolicy 5 tylko było francuskich.

„O świecie” to obraz codziennego życia górników w węglowych okęgach północnej Francji. Louis Daquin wykreślił się łatwych efektów widowiskowych, jakie daje przedstawianie wielkich katastrof.

w tych okęgach; cenzura nie pozwoliła na to.

Film Louisa Daquin jest czymś zupełnie nowym w francuskiej kinematografii. Po raz pierwszy właściwym tematem filmu jest życie robotników ukazane od strony ich pracy. W ostatnim dwudziestolecu robotnicy weszli wprawdzie do filmu francuskiego i to w większym niż dotychczas stopniu, ale w jakimkolwiek innym kraju Europy zachodniej, ale trzęcia przeżyć tych proletarijuszy — w dawnych filmach Jeana Gabin — był dramatem namiętności lub zbrodni; kwestia ich zswodu odgrywała rolę drugorzędna. Wystarczy dla przykładu przypomnieć takie filmy jak „Toni” lub „Bestia ludzka” („La Bête Humaine”) J. Renoira. „Dzień się budzi” („Jour se lève”) czy „Wrota nocy” („Porte de la nuit”), Marcela Carné.

Jako scenaria dla rozgrywanej się akcji kopalnia węgla występowala już nieraz w filmach francuskich np Ferdynanda Zaccy, który w 1905 nakręcił „W krainie mroku” („Au pays noir”), Jesse-ta, który w 1911 roku do filmu „W kraju ciemności (Au pays des ténébrés)” zrekonstruował prawdziwą kopalnię węgla czy wreszcie Albert Capellani, który przerobił na scenariusz filmowy „Germinal” Zoli.

We wszystkich tych filmach jednak punktem kulminacyjnym akcji był wybuch gazu lub zatopienie kopalni wodą, spowodowane przez ruchy strajkujących lub rywalizację robotników, ubiegających się o względy młodej dziewczyny, zaręczony z szlachetnym inżynierem.

Ten szablón katastrofy odnajdujemy w „Koleżeńwie” („Kameradschaft”) Pabsta „Gwiszy patrz na nas” („The Stars Look Down”) Anglika Carla Reeda i „Zielona dolina” („How green is my valley”) Amerykanina Jchna Forda.

Powiedzieliśmy już, że Louis Daquin i jego scenarzysta Vladimir Pozner zrezygnowali z elementu widowiskowego, przez co pewne epizody filmu zostały na dramatycznej siłę wyrazu. Szczególnie godny uwagi jest sposób, w jaki podchodzą do tematu Ośrodek robotniczy zamieszany przez górników; między kompleksami robotniczymi domków wstaje dzień oświatlejając rozległe równiny północnej Francji. W każdej izbie dzwoni budzik, ludzie przygotowują się do wyjścia do pracy, kobiety pakują jedzenie w koszyki. Razem z inżynierem który świeżo przybył do okęgu wstępujemy w głąb kopalni. Obraz tej oddany jest z fantastyczną plastyką. W porównaniu z nim kopalnia w „Kameradschaft”, to pusta dekoracja, nie mówiąc już o czysto hollywoodzkim ujęciu zagłębia węglowego przez Jchna Forda w „Zielonej dolinie”.

Ale Louis Daquin potrafi odzwierciedlić prawdziwie i trafnie nie tylko miejsca pracy. Postaci jego filmu proste i ludzkie łączy braterstwo. Są to: młoda sortowaczka węgla, którą gra penna słodyczy Loleh Bellon, delegat związku zawodowego górników, którego postać wernie odzwierciedla Grenier, aktor o wielkim talentcie, od niedawna występujący w filmie młody inżynier, którego gra Jean Dassilly, który rozumie, że miejsce jego jest po stronie ludu, wreszcie inżynier, reprezentujący odmienny światopogląd, którego niezwykle przekonawąca sylwetkę daje René Lefèvre, niegdyś amant w „Milionie” René Claira.

W filmie nie ma lub prawie nie ma intrzygi. Film mimochodem tylko kreśli historię kilku mężczyzn i kobiet, którzy kochają swą pracę razem z jej trudnościami, jej strunami heroicznymi i tragicznymi. Uczucie miłości jedna z najlepszych cech Louisa Daquin nasycy cały film, zwłaszcza niezwykłą scenę miłości, rozgrywaną się na tle kopalnienno krajobrazu.

Jeżeli realizatorom trudno było poruszyć wprost zagadnienie walki społecznej, to ten obraz z życia górników francuskich dał dowód, że ich codzienne bohaterstwo i godny podziwu zapał zasługują na to, aby w walce, jakie toczą stale i to lepiej warunki życia, odnieśli zwycięstwo. Tymczasem wtrąca się ich do więzienia zamiast kolaboracjonistów Problem robotników - cudzoziemców, mimo że nie jest zagadnieniem centralnym filmu (jak niegdyś w „Tonim” Jeana Renoira, potraktowany został z dużą inteligencją).

Film „O świecie” ma odmiennie a jednak zbliżone założenia estetyczne do ostatnich, cieszących się wielkim powodzeniem filmów włoskich, szczególnie zaś do „Złotych rowerów”. Prostość, wierność tonu, siła, z jaką odzwierca życie dnia powszedniego, czynią zń jednym z najlepszych dzieł kinematografii francuskiej od czasu wyzwolenia. W odmiennym sensie film „O świecie” jest nową „Bitwą o szynę”. Przylgając się do tego, co w zakresie prawdziwego realizmu tworzą w Europie realizatorzy włoscy, węgierscy, polscy i radzieccy, przeciwstawia się konwencjonalnym i lukrowanym odbłkom światła, w wydaniu Hollywood.

Georges Sadoul



Louis Daquin

Tematem filmu nie są również wielkie strajki robotnicze, które w ciągu dwu ostatnich zim wybuchaly

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

FILCZOFA

Lukian z Samosaty. Dialogi wybrane. Przełożył, wstępem i objaśnieniami opatrzył Władysław Witwicki. Okładkę projektowała K. Zychiewicz. Wrocław, Książnica - Atlas 1949; str. 280 i 4 nl.

LITERATURA

Klub Dobrej Książki. I. 1949. Jorge Amado. Ziemia krwi i przemocy. Powieść. Przekład autorzowany Janiny Wrzeskowskiej. Warszawa, „Czytelnik” 1949; str. 324 i 4 nl.

Józef Ignacy Krzazewski, Saskie ostatki (August III). Wstępem i objaśnieniami opatrzył Wiktor Hahn. Okładkę projektował K. M. Sopotko. Warszawa, „Czytelnik”, 1949; str. XIII i 3 nl. i 316 i 4 nl.

Betty Mac Donald. Jajko i ja. Tłumaczyła Marta Wańkowiż-Erdmanowa. Okładkę projektował Zdzisław Czacko. Warszawa, E. Kuthan, 1949; str. 333 i 3 nl.

Biblioteka w Prenumeracie. III. 1949. Guy de Maupassant. Opowiadania. Przekład R. Czekalskiej - Heymanowej. Warszawa, „Czytelnik”, 1949; str. 277 i 3 nl.

Klub Dobrej Książki. VI. 1948. Tadeusz Peiper. Krzysztof Kolumb odkrywca. Warszawa, „Czytelnik”, 1949; str. 264 i 4 nl.

Arkusz Śląski. 12. Stanisław Piastowicz. Wiersze. Cieszyn, ZZLP — Oddział Śląski, (br., w.) str. 15 i 1 nl.

Biblioteka Romansów i Powieści. Nr. 29. Iwan Turgeniew. Opowiadania. Tłumaczyła L. Podhorski-Okolów. Warszawa, „Czytelnik” 1949; str. 62 i 2 nl.

Stefan Żeromski. Dzieje grzechu. Powieść. Tom I i II. Warszawa

Czerwowcy (6) zeszyt miesięcznika „Twórczość” zawiera bogaty i różnorodny materiał krytyczny i literacki poświęcony w większości aktualnym zagadnieniom kultury.

Anna Seghers, postępową pisarką niemiecką w szkicu „Wrocław i Sainte-Chapelle”, oraz publicysta polski Z y g m u n t Ka l u ż y Ń s k i w essey „Notatki z Kongresu” — opierając się na materiale przeżył i obserwacji bezpośrednich, jakich dostarczyły dwa sprawom pokoju poświęcone kongresy: wrocławski i paryski, dochodzą w wnioskach do sformułowań uderzająco zgodnych. Zgodność ta zasada się na nieodpartej prawdziwie o kulturotwórczej energii mas ludowych całego świata.

150 rocznicę urodzin wielkiego poety rosyjskiego Aleksandra Puszkina uczcila „Twórczość” ogłoszeniem etnej, naukowo odkrywczej rozprawy Leona Gomolickiego o pn. Wojnarowski-Wallender-Poita, wykazującej związki i wzajemne zależności zachodzące pomiędzy utworami Mickiewicza, Puszkina i Rylejewa.

Stefan Morawski w pracy „Kipling - Yeats - Auden” analizuje dorobek poetycki trzech spośród najwybitniejszych pisarzy angielskich ostatniego półwiecza.

Proza Aleksandra Sieriebrowa (A N Tichonowa), znanego dramaturga radzieckiego, „Czas i ludzie” jest poświęconą również postaciom artystów. Są nimi: Gorki, Stanisławski i Szallapin. Sieriebrow posługując się techniką wspomnień pamiętnikarskich, ukazuje swych wielkich przyjaciół z lat młodości od strony życiowej, autentycznej a niegody; fabuła nie przesłania jednak mądrej, głębokiej, charakterystyki opisywanych ludzi od strony ich własnych dążeń, ideałów artystycznych, a także od strony — historii.

Dwa interesujące studia krytyczne poświęca „Twórczość” zagadnieniom plastyki. Wybitny młody krytyk Mieczysław Potębski w pracy „Ku sztuce nowoczesnej” rozpatruje podłoże genetyczne dzisiejszego malarstwa, podkreślając zjawiska ciągłości kulturalnej w sztuce oraz związek plastyki z doninującymi treściami filozoficznymi i społecznymi danego okęsu. — Kazimierz Wyka, jeden z najwnikliwszych esaisistów na tematy sztuki, roważa możliwość i perspektywę malarstwa artystów niezawodowych w szkicu krytycznym sumującym wrażenia i refleksje po obejrzeniu Wystawy Plastyków Amatorów w Warszawie.

Interesujący dział „Not” przynosi cenne sprawozdanie Aleksandra Rogalskiego z życia kulturalnego dzisiejszych Niemiec, dwa artykuły polemiczne pióra Juliana Przybysia i Mieczysława Romankówny z zakresu krytyki literackiej, oraz recenzję z wystawy „9 Grafików Krakowskich” pióra Jacka Woźniakowskiego.

Kazimierz Truchanowski

DWIE IMPREZY

(Wystawa w ASP w Warszawie i koncert w Konserwatorium Krakowskim).

W związku z zakończeniem roku szkolnego zostały zorganizowane dwie ciekawe imprezy akademickie, które pozwalają szerokiemu ogółowi zaznajomić się z osiągnięciami studiującej młodzieży. Pierwszą imprezą jest wystawa młodych artystów otwarta z dniem wczorajszym w gmachu pałacu Raczynskich (Krakowskie Przedmieście 5), w którym mieści się obecnie Akademia Sztuk Pięknych. Drugą był koncert młodych muzyków, zorganizowany w dniu 26 czerwca rb. przez Konserwatorium Krakowskie i transmitowany przez Polskie Radio.

Obie te imprezy są tym ciekawsze, że chodzi tu o młodzież, która przygotowuje się do wykonywania jakież często trudnego i odpowiedzialnego zawodu artystycznego i z tego powodu zasługuje na pełną uwagę, zainteresowanie i życzliwość.

Nie jestem muzykologiem, mogę więc mówić tylko o wrażeniu ogólnym, jakiego doznałem w czasie audycji radiowej. Słuchałem gry młodych muzyków z największą uwagą. Grano Mozarta, Griega i Karłowicza i jeśli mam mówić o nas, zwykłych i przeciętnych konsumentach muzyki, to odnieśliśmy pełne zadowolenie. Zawsze ulegam wzruszeniu, gdy produkują się młode talenty; w sposobie ich interpretacji jest coś nieuchwytnie świeżego. Niekiedy mimowolna pauza, wahanie, czy leciwieniska trema, nadają wykonywanemu utworowi, jakichś specjalne zabarwienie — tak odmiennie od wymierzonych efektów wirtuozów.

Obserwowałem kiedyś lot treningowy dwóch dzieciaków — starego i młodego. Była to nauka. Stary dzieciol latał po miszmarowisku, w jego locie doskonałym i pewnym wyjątkowo precyzyjnie studiowania wszystkich pozycji — woli, asków, lecz nie zachwycało mnie to tak, jak trochę niedołężny i nie-

pełny lot młodego dzieciolka. Obrazek ten przypomniał mi się, kiedy starałem się zanalizować ten specjalny urok, jaki młodość wnosi w każdą dziedzinę wykonywanej przez siebie sztuki.

O wystawie młodych w Akademii Sztuk Pięknych chciałoby się powiedzieć obszerniej, ale ilość wystawionych eksponatów (parter, dwa piętra i wszystkie korytarze) jest tak wielka, że na szczególome omówienie nie wystarcząby dwa kolumny pisma. Nie jestem fachowym sprawozdawcą i dlatego artykułu niniejszego nie nalezy traktować jako krytyki, lecz jako bardzo życzliwe uwagi pod adresem młodzieży, dla której słowa zainteresowania i zachęty znaczą bardzo dużo.

Najlepsza moim zdaniem jest klasa prof. F. Kowarskiego, której po śmiernieci profesora patronuje znakomity pejzazysta E. Art. W klasie tej widać talenty krystalizujące się bardzo wyraźnie. Odnosi się wrażenie, że są to uczniowie starsi, technikę przeważnie posiadają opanowaną i sporo prac można uznać za dzieła dojrzałe. W grupie tej wyróżniają się (wymieniać tylko nazwiska): Hacıewicz Kalina, Kwiatkowska Halina, Klimczak Waclaw, Zieleńiec Bogdan, Widera Janina.

Klasę prof. J. Sokolowskiego postawiłbym na drugim miejscu tylko dlatego, że tu jeszcze nie ma tego opanowania technicznego, co w poprzedniej, można tu dostrzec jakby wahanie, czy brak cierpliwości, lecz mimo to klasa ta bardziej mi się podoba od poprzedniej. Prace i sposób traktowania przedmiotu są różnorodniejsze i bardziej oryginalne — widać, że profesor dyskretnie usuwa się w cień, lecz czuwa i uczeń wie, że każdej chwili otrzyma pomoc i wskazówkę, gdy będzie zmagał się z trudnościami. Rysunek jest opanowany, kompozycja dobrze związana, widać, że zwraca się uwagę na

logiczność w rozmieszczeniu kolorów i na ich klarowność. W klasie tej wyróżniają się prace: Haliny Pomianowskiej (najlepszy akt), Ewy Suchodolskiej, Waldemara Wdowickiego, Jacka Sempolińskiego. W mozaice: Zaborowskiego, Sloniowskiej, Suchodolskiej, Bieguszewskiej.

Na jednakowym prawie poziomie stoją klasy prof. prof. Jana Cybisa, Kazimierza Tomorowicza i Rafałowskiego.

Oglądając te pracownie, odnosi się wrażenie, że uczniowie tu są jeszcze młodzi, niektórzy bardzo młodzi, stąd brak dyscypliny, rysunek nieopanowany, kolor niezdecydowany i przypadkowy. Do najlepszych nalezy zaliczyć prace: Zdanowicz Marii, Przedziezickiej Zofii, Zabianki Ireny, Szulcówny Hanny, Bzdynskiej Hanny, Lataeso. W pracowni prof. Gerzabka — Mierkiewicz Jan.

Na specjalną uwagę zasługuje pracownia prof. E. Kokosko, której należałoby poświęcić osobny artykuł.

Bardzo ciekawe są klasy grafiki profesorów Bartłomiejczyka i Kulisiewicza, w których wyróżniają się prace Adama Perzka oraz Ireny Kuran-Boguckiej.

Najtrudniej jest mówić o pracowniach rzeźbiarskich profesorów Breyera i Strynkiewicza. Trudność polega na tym, że w pracowniach tych zgromadzone wielką ilość powtarzających się eksponatów i ze względu na ich ilość wystawa jest monotonna. Najlepsza jest „Dziewczynka z książką” (rzeźba w drzewie) Jana Cykowskiego oraz dwie prace w piaskowno — Strynkiewiczowej i Lisowskiego.

Przełagd tegorocznych prac daje nadzieję, że przyszła wystawa ASP po pracy w lepszych warunkach, niż to było dotychczas, będzie jeszcze ciekawsza.

JÓZEF GRABOWSKI

DRÓGI I MANOWCE WSPÓŁCZESNEJ PLASTYKI LUDOWEJ

Pod adresem artystycznej twórczości ludowej wysuwa się różne nadzieje, łączy się z nią wielkie nadzieje, zajmując ona honorowe miejsce w wyprawach ludzi oficjalnych — jej miejsce nie jest jednak sprecyzowane, ani zaplanowane. Wynik tego: częste zbaczanie na bezdroża, brak powiązania z bieżącymi potrzebami życia.

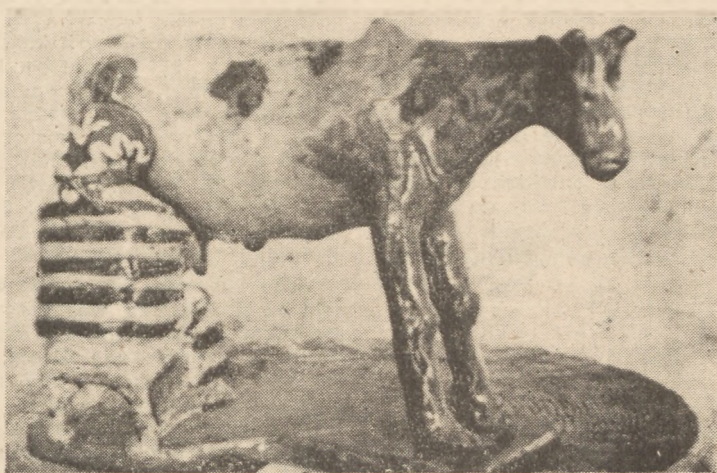
Tnwiąca już kilka lat akcja Ministerstwa Kultury i Sztuki, która zmie-

System konkursów bowiem wytworzył w sztuce ludowej stan, którego nigdy nie można było obserwować w jej naturalnych warunkach rozwojowych: oderwanie się od życia i wejście na drogę gorączkowych poszukiwań nowych form. Obydwa te zjawiska występują wyraźnie na drugiej z kolei wystawie pokonkursowej sztuki ludowej, otwartej obecnie w Kielcach. Duży procent naczyń ceramicznych, tam wystawionych, to

na obrysowywaniu motywu wycinankowego i wypełnianiu całej pozostałej powierzchni zdobioną rytą, dowolną i zmienną, która pokazał na wystawie kieleckiej Antoni Kitowski z Kątów Denkowskich (ryc. 1). Nie może pozostać również bez konsekwencji forma i malowana ornamentyka interesujących w kształcie i sposobie zdobienia, smukłych „wodziarzy” (ryc. 2), wykonanych na konkurs przez Gustawa Poletkę (także z Kątów Denkowskich) i opartych podobno na wzorach dawnej ceramiki miejscowej. Malowana ceramika Ludwika Moniewskiego z Wierzbnika przynosi ciekawe zestawienie czerwono-zielono-niebieskich barw, pastelowych w tonie i położonych na ciepłym, kremowym tle powierzchni dzbana (ryc. 3). Dążność do zróżnicowania elementów zdobniczych, wypełniających pasy poziome, pokrywające cały dzban (ryc. 4), widzimy u Stanisława Kitowskiego z Kątów Denkowskich, którego łączy z Antonim tendencja do ornamentyki, komponowanej wedle częstej w sztuce ludowej zasady horror vacui (strach przed próżnią).

wono-czarnej i stosowaniu barw zielonych, fioletowych i innych, pokrewnych współczesnej gamie łowickiej. „Tasimki” natomiast, wykonane na konkurs, trzymają się bardziej tradycji, lecz zrobione są tak niechlujnie, że żadna z ich twórczyń nie przyszłaby ich z pewnością do swojej zapaski. Kielecka tkanina ludowa nie została jeszcze dotąd wprowadzona na rynek i dlatego rezultaty konkursu nie mają dla życia wsi poważniejszego znaczenia. Inaczej natomiast jest z ceramiką. Tej byt i przyszłość zależy wyłącznie prawie od zbytu poza wsią, która zaopatruje się już w naczynia fabryczne. Dlatego też rozdmuchiwanie twórczości garncarzy, bez zapewnienia im zbytu jest może cenne dla nauki, lecz bolesne w skutkach dla królików doświadczalnych. Winno się pamiętać przy akcji rozbudzania twórczości wsi, by powstały tą drogą nurt, nie zostawiający w życiu.

Józef Grabowski



Wincenty Kitowski — Dojarka

ra do rozwoju plastyki ludowej, jest prowadzona przede wszystkim przy pomocy konkursów, których sieć objęła już dość równomiernie teren całej Polski. Konkursy te budzą do życia oszczędki obumierające, lub nawet zamarłe, podtrzymują twórczość dotąd czynną. Trzeba przyznać, że dzięki Wydziałowi Sztuki Ludowej Ministerstwa Sztuki ludowa ożywiła się i spotęgowała. Lecz tu właśnie zaczyna się problem. Wzmocniona twórczość ludowa nie napotyka jak dotąd na drogę włączającą ją do życia. Akcja Ministerstwa jest działalnością samą dla siebie, sztuczną i wiszącą w próżni, gdyż ośrodki rozbudzone przez Państwo nie znajdują dostatecznego ujścia dla swej twórczości i zależą głównie od wsparcia finansowego, dostarczanego im przez Ministerstwo i instytucje społeczne. Ludność wiejska stała do konkursów przeważnie z dwu względów, będących właściwie dwiema stronami tego samego zagadnienia: dla osiągnięcia nagrody pieniężnej i dla zarobku przez zbyty swych wytworów. Pierwszy cel zazwyczaj bywa osiągnięty, bo Ministerstwo prowadzi politykę przyznawania wielu niewysokich nagród, tak że każdy niemal z wystawców bywa nagradzany, o ile sztuka nie ulega wypaczeniu. Drugi natomiast na ogół zawodzi. Zakupów nie ma, poza sporadycznymi.

olbrzymi (niektóre z nich dochodzą do 145 cm wysokości) bez możliwości jakiegokolwiek ich praktycznego zastosowania. Artysta ludowy, pracując z myślą tylko o konkursie, odrywa się od rzeczywistości i zaprzepaszcza jedną z głównych i charakterystycznych cech sztuki ludowej: ścisłą łączność i powiązanie twórczości artystycznej z potrzebami życia. Powstaje swoista ludowa odmiana „sztuki dla sztuki”, jako wytwór mecenatu, podtrzymawanego na miejscu potrzeb życiowych.

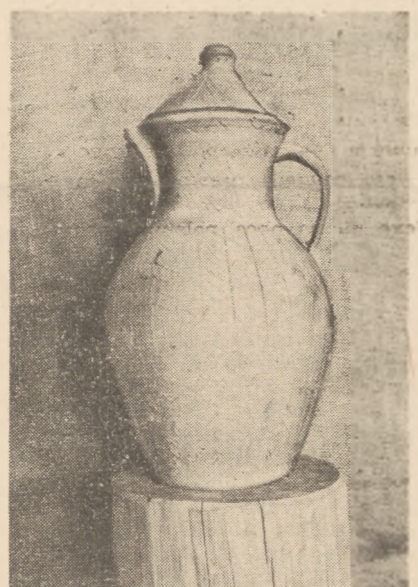
Jedną z ważniejszych zdobyczy kieleckich wystaw konkursowych jest wydobycie na jaw tamtejszych, nieznanych szerzej, wytwórni ceramicznych, o charakterystycznym stylu własnym, istniejących w Wierzbniku, Denkowie a nadto w Chalupkach, których naczynia cechuje ornament z wypukłych, naklepanych motywów, kontrastujących z wkleśłymi, wykonywanymi techniką stempelkową. Pod wpływem konkursów zmieniła się też tematyka znanych powszechnie figurek ceramicznych z Ilży, gdzie obecnie, obok tradycyjnych świętków i ptaków, powstają tematy zaczerpnięte z życia wsi. Do takich należą np. Kobieta w zapasce (ryc. na dole), Dojarka (ryc. na górze) i Kobieta z koszem (ryc. obok) przez Wincentego Kitowskiego.



Wincenty Kitowski — Kobieta z koszem

Pokazane na wystawie tkaniny ludowe zostały przeważnie wykonane już dawniej. Wytwory nowsze wykazują zwrot od tradycyjnej kolorystyki czer-

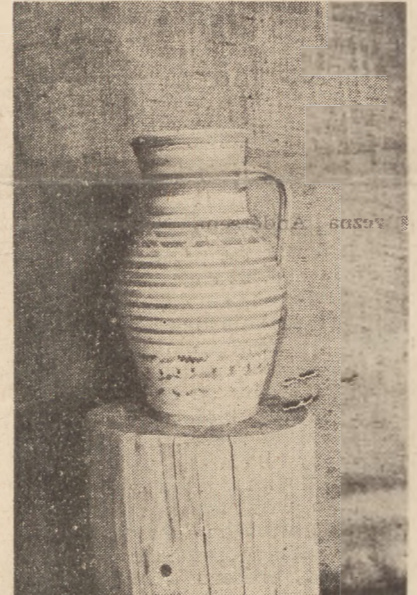
Jakoś ceramiki ludowej, pokazanej na wystawie kieleckiej, wypłynęła z dwu przyczyn: chęci popisanania się



Antoni Kitowski — Dzban niepolewany (1)



Gustaw Poletka — Wodziarz (2)



Ludwik Moniewski — Dzbanek niepolewany (3)

Kto bowiem ma kupować? Wiesz nie, bo ta albo produkuje bezpośrednio, jeżeli chodzi o przedmioty sztuki — żywe dotychczas w kulturze ludowej, albo też odwraca się od nich ze względu na fałszywe poczucie niższej wartości, wypływające z podziwiania kultury warstw posiadających. (Np. na Kurpiach strój miejski nazywany jest „ślacheckim” i dlatego naśladowany). Miasto natomiast, które mogłoby być z powodzeniem odbiorcą wielu artystycznych wytworów ludowych, nie jest do tego przygotowane; zbyt mało ludzi potrafi dostosować walory sztuki ludowej do siebie i swego otoczenia, a jeszcze mniej zrozumieć istotę piękna tej sztuki. By miasto mogło stać się poważnym odbiorcą sztuki ludowej może być prowadzona gruntowna akcja uświadamiająco-propagandowa, a obok tego sztuka ludowa winna znaleźć swoje miejsce i zastosowanie we wszelkich poczynaniach planowych i masowych, dotyczących dekoracji wnętrz i prowadzonych na skalę państwową. (Np. państwowy przemysł meblarski mógłby zastosować tkaniny ludowe do obić). Jeżeli akcja Ministerstwa Kultury i Sztuki popierająca plastyki ludowej ma być owocna, nie może pozostać bez ugruntowania w innych reortach, regulujących życie. Z drugiej strony przy budzeniu sztuki ludowej trzeba liczyć się z możliwościami jej społecznego zużytkowania.



Stanisław Kitowski — Dzban zielony, polewany (4)

swoimi umiejętnościami technicznymi, które zawsze przez ludzi nie uświadamiających sobie istoty sztuki poczytywane są za właściwą sztukę, oraz z dążności do osiągnięcia oryginalności, a tym samym zdobycia nagrody. Nie znaczy to, że wystawa kielecka nie odślania prawdziwych pragnień twórczych. Artysta ludowy, trzymany normalnie mocno na uwierzy stroną gospodarza swego rzemiosła, uzyskał dzięki akcji Ministerstwa znacznie większą swobodę. Jest to jednak o tyle niebezpieczne, że akcja „nakreślenia konturów” wcale nie trwać nie może, i artysta ludowy po krótkim locie w nieznaną, będzie musiał wrócić na ziemię.

Sądząc po wystawie kieleckiej lot ten nie pozostanie bez znaczenia dla dalszego, normalnego już rozwoju kieleckiej ceramiki ludowej. Zostaną w niej z pewnością zużytkowane ciekawe próby nowej ornamentyki rytnej, opartej



Kosiarska Jadwiga — Kobieta w zapasce

KORESPONDENCJA

„JEDNAK LEPIEJ: „RYCERZ GOREJĄCEGO TŁUCZKA”

Do Redaktora „Odrodzenia”

W związku z recenzją pomieszczoną w „Odrodzeniu” nr 27 (240) dotyczącą burleski Beaumonta i Fletchera, zatytułowanej w oryginalnie „The Knight of the Burning Pestle”, a w przekładzie polskim katówickim „Rycerz ognistego pieprzu”, chciałbym zaznaczyć, że stosowniejszym, wierniejszym i trafniejszym wydać się używany dotąd tytuł polski „Rycerz gorejącego tłuczka”, tym bardziej, że wspomniany emblemat moździerzywoy czeladnika w sklepie korzennym widnieje na tarczy tego Don Kichotowego poszukiwacza przygód. Witając szczęśliwą inicjatywę teatru w Katowicach w sięganiu do ludowej tematyki z dziedziny dramatu w epoce królowej Elżbiety i króla Jakuba I warto zwrócić uwagę na wcze-

niejszą tego rodzaju próbę Thomasa Dekkera, zatytułowaną „The Shoemaker's Holiday” czyli „Święto szwajkarskie”, wprowadzającą nas w ten sam świat przeciwieństw, nalicznie reprezentowanego widza w ówczesnych teatrach londyńskich.

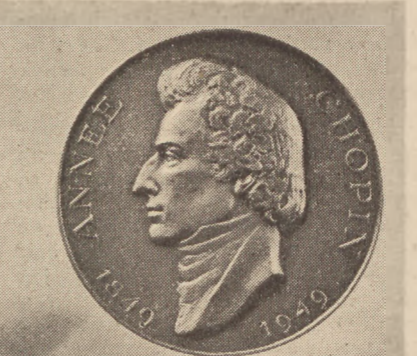
Stanisław Helsztyński

SPROSTOWANIE

W nr. 27 (240) „Odrodzenia” na str. 4 w artykule Stanisława Jasińskiego „Gdzie jest „Pochód” Wacława Szymanowskiego?” zakradła się pomyłka, która zniekształca treść ostatniego zdania. Zdanie to winno brzmieć: „Kraj, który jeszcze sto lat temu posługiwał się musiał dżetem Thornwaldsena i pietyzmem otaczał tę duńską „poczytkę”, zbyt łatwo przeszedł do porządku dziennego nad niewykonanym w brąz „Pochodem” Wacława Szymanowskiego.



Medal pamiątkowy Roku Chopinowskiego w Belgii, dzieło rzeźbiarki belgijskiej Anny de Liedekerke.



Nagroda PEN-Clubu dla poety czeskiego Františka Halasa za znakomite przekłady dzieł Adama Mickiewicza na język czeski. Nagroda wykonana jest w formie artystycznej plakiety srebrno-złotej według projektu artysty H. Grunwalda.

CAMERA OBSCURA CO TYDZIEŃ NAGRODA 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” od adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 16, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza nagrodę w wysokości 2000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 2000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Stanisław Lipiński, Rzeszów, Sienkiewicza 28, za książeczkę ks. Mariana Prońskiego: „Panna chrześcijanka”.

DZIEJE GRZECHU

Tydzień temu daliśmy wyraz poglądom, że obecny, poważny ton naszych wydawnictw nie tylko przekreślił groteskowe oblicze przedwojennej prasy, lecz przede wszystkim — przywrócił szerokiemu rzeszom czytelników — godność ludzką. Coraz mniej jest wydawnictw traktujących czytelników jak stado smutnych kretyków. Ale są jeszcze. Wystarczy sięgnąć do wydawnictw „Niepokalanowa”, do „Niedzieli”, by przekonać się, że dla pewnych wydawców i autorów czytelnicy nie przestali być kolonialnym ludkiem, któremu sprzedaje się obok odpustowych świecidełek — odpustową literaturę. Odpustowa literatura opatrzona jest znaczkami w języku obcym, podobnie jak kolonialne artykuły. Na puszcze „krwawą kieszka” widnieje znaczek: „Made in USA”, na odpustowej literaturze — „Imprimatur”. Producent odpustowej literatury nie chcą przyjąć do wiadomości, że mamy za sobą dwie rewolucje, mieszczańską i proletariacką. W dalszym ciągu piszą i drukują dla mieszkańców kraju feudalnego. A więc, przede wszystkim, dla paniątek i panienek ze dworu — o tym, jak należy traktować służbę i dla służby — o tym, jak szanować panów.

Książeczka ks. Mariana Prońskiego „Panna chrześcijanka” przeznaczona jest widocznie dla paniątek ze dworu, które naukę w zakresie szkoły średniej pobierały u siebie w salonie, według programu ułożonego przez Panią-Matkę, albo starą nianę. W programie takim nie ma — rzecz jasna — nic takiego, co by pannę mogło zepsuć: „Jak samo — pisze ks. Proński — przedstawia się historia zepsutych panien. Żadna nie przyszła na świat zepsuta. Aż do pewnego wieku (zwykle do lat 17—18), każda panna jest dobra, brzydzi się nieskromnością i unika grzechu, jak ognia. Zle zaczyna się z chwila, gdy trafia na „doświadczoną” i „uświadamioną” koleżankę, która zazdrości jej niewinności, więc chce ją urobić na swój wzór. — „Jak to — pyta ze zdziwieniem — ty jeszcze nie wiesz wszystkiego? To niemożliwe! Przecież jesteś już dorosła i żyjesz w XX wieku! Jeżeli nikt cię dotąd nie pouczył, ja muszę wytłumaczyć ci to, co panna w twoich latach wiedzieć powinna”. — Zaczyna się więc tłumaczenie. Niewinne dziewczę, które pierwszy raz słyszy o podobnych brudach, rumieni się ze wstydu i chciałoby przerwać niestosowne opowiadanie swej samozwańczej nauczycielki... „Nie koniec na tym. Usłużna koleżanka (z sąsiedniego palacu — przyp. nasz) prowadzi dalej swe smutne dzieło zgorznienia, proponując książkę — zwykle plaskie romansidło, które napisano i wydano na to, aby dusze katolickie znieprawiać. (Książka ma tu na myśli naipewniej „Sprzysiężenie” — przyp. nasz). Sumienie upomina niedoświadczoną pannę, że powinna odrzucić od siebie aorszaca książkę. Jednak urodzona ciekawość broni się. „Ja nie chcę grzeszyć, ale muszę wszystko poznać sama: dobre i złe”.

A na to ksiądz Proński: — Adam i Ewa w raju także nie chcieli grzeszyć, oni pragnęli tylko dowiedzieć się, jak zle wygląda i zgrzeszyli ciężko! Po przeczytaniu Księgi Księgi panna brnie w zło coraz głębiej: Dawniej unikała męskiego towarzystwa, teraz chętnie w nim przebywa. Dawniej ani tańce jej nie ciągnęły, ani zabawy nie ją nie obchodziły. Teraz bez zabawy żyć nie może, a tańce uważa za największe szczęście.

Ongiś do tego stopnia dbała o przyzwoitość, że za nic na świecie nie pozwoliłaby młodzieńcowi tonać rzyść sobie na ulicy, ani promować pod rękę, tym bardziej nie przebywałaby z nim sam — teraz uważa podobną skromność za staroświeckie przesady.

A na to ksiądz Proński: Chciej zrozumieć i daj sobie wytłumaczyć, że wszystkie ładajaki panny, ile ich tylko stoczyło się w dół, od przebywania sam na sam i od pocałunków zaczęły.

I dalej w stylu odpustowej powieści w rodzaju „Porzuceni”, lub „Zemsty zdradzonej”: „J wreszcie zbałamuciona panna uwierzyła kusicielowi. Wyrzeka się dla niego najdroższego swego skarbu — zamiast być aniołem czystości, stała się obrzydliwą w oczach Bogów i ludzi.

Przewidywania księdza Prońskiego są jak najgorzej: Gdy już będzie miał jej dosyć, pójdzie dalej inne bałajki, a nie precz od siebie odrzuci... Zupelnie tak samo, jak wyrzuciła na śmieć nisko wyciśniętą cytrynę, albo skórkę na strzygę podartą.

Należy spodziewać się, że nasze katolickie pisma literackie, które nie przemawiają do swoich czytelników, jak misjonarze do Murzynów, zajmą się wreszcie LITERATURĄ I SZTUKĄ ODPUSTOWĄ, o której dotąd upomniemy milczą. Byłoby to na przykład, wielką zasługą „J. M. ES” z „Tygodnika”, gdyby za jego sprawą usunęto z obiegu chociażby pocztówki z trickiem fotograficznym, zaopatrzonym w podpis: „I ty ujrzyś św. Teresę”.

I wtedy, wdzięczni za to, że odjęto nam co najmniej połowę pracy, zapybimy się już tylko — sprawami świeckimi. Na przykład: „M — 46500” nie jest wprawdzie „imprimatur”, ale na pocztówką niżej zamieszczoną a opatrzoną tym znakiem drukarskim, jest równie wychowawcza, jak naiwna prądleria ks. Prońskiego.



ALEKSY TOLSTOJ
DROGA PRZEZ MĘKĘ
Część 3
POCHMURNY RANEK
Tłum. W. Broniewski
W. Rogowicz
str. 494
zł. 600